

ŚWIAT



WYŚCIG POKOJU
PATRZ REPORTAŻ NA STR. 2 i 3

Fot. „Świat” Z. Malek

Nr 19 (42) — Rok II

11 MAJA 1952

CENA 1²⁰ ZŁ





Zdjęcia: W. SŁAWNY, Z. MAŁEK i K. JAROCOWSKI

TRZY SŁOWA
PONAD TRASĄ:

BRATERSTWO POKÓJ POSTĘP

Telefonem od specjalnego wystannika
ARTURA MIĘDZYRZECKIEGO

JEDZIEMY! Od chwili, w której honorowy starter — ambasador Anna Kunderman otworzyła wyścig, wszystko potoczyło się — w zawrotnym tempie.

94 zawodników z 16 krajów wyjechało na wielką trasę. Na nawierzchni ulicy Grochowskiej rozpoczął się pierwszy z 12 etapów wyścigu, który jest największą w świecie imprezą amatorskiego kolarstwa.

Nad długimi kolumnami zawodników powiewa niebieska chorągiew z białym gołębiem. WARSZAWA — BERLIN — PRAGA, to nie tylko nazwa wyścigu. Jest to również tytuł najpopularniejszej na trasie piosenki:

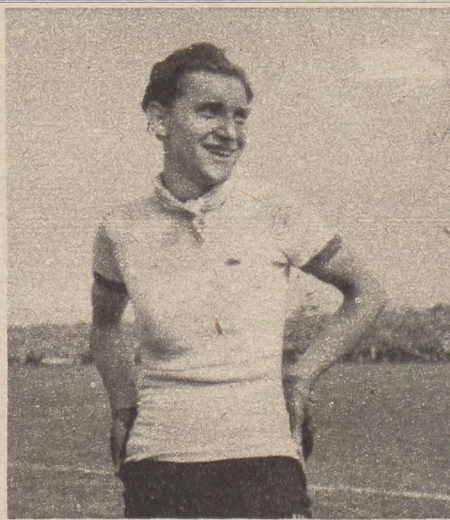
„Jak flagę wznosimy pieśń naszą,
W niej słowa trzy spłoty się proste,
Trzy słowa ponad trasą:
Braterstwo, Pokój, Postęp!...

Kiedy Czechosłowak, Skorzeza, dzieli się cenną wodą z holenderskim kolarzem; kiedy tłumy widzów oklaskują samotną jazdę Rumuna Norhadiana; kiedy Królak czeka na Kłabińskiego, który przebił dętkę; kiedy wreszcie ZMP-owcy wybiegają spod trybun stadionu, by zaopiekować się kolarzami, a polski masażysta pochyliła się z troską nad utrudzonym Olafem Kasslinem z drużyny Finlandii — nie są to ani przypadki ani sprawy wyjątkowe. Taki ten wyścig jest. Przyjaźń i braterstwo, solidarność zespołu, współpraca i wzajemne zrozumienie triumfuja tu na każdym kilometrze.

— Przyjaźń i braterstwo! — wołają tysiące ludzi w Görlitz, Berlinie i Lip-



Gołąb pokoju przewodzi polskim sportowcom, defilującym na otwarciu Wyścigu.



Stablewski włożył dziś żółtą koszulkę.



Zwartą grupą przejeżdża czołówka przez udekorowane miasteczka. Kolarzy wita serdecznie miejscowa ludność.

sku — Przyjaźń i braterstwo! — głosiły transparenty w Warszawie, Łodzi i Częstochowie.

PROSTO DO METY

30 kwietnia trasa etapu prowadziła dookoła Warszawy. Zwartą grupą kolarzy pędziła przez Anin, zakręt pod Miłosną i Wiązownię. Pierwszy defekt przypadł w udziale Jowettowi (Anglia) — już na samym starcie. Następnym pechowcem był Fin Salminen.

Po obu stronach szosy wiodącej do Kołbieli gęsty tłum ludzi serdecznie wita kolarzy. Nawierzchnia zmienia się: po asfalcie — kostka, po kostce — piaszczysta droga, na której wzbijają się chmury kurzu.

W wozie prasowym służba radiowa melduje o oderwaniu się poszczególnych grup zawodników:

— Teraz oderwało się trzech! — mówi radiowiec ze słuchawkami.

— Trzech! — huczy autobus. Znowu ktoś wyrzywa się na przód. To polski kolarz. Numer 100: Królak! Jest z nim Holender de Groot.

— Oderwa się czy nie? — niepokoje się ktoś pod oknem.

— Nie denerwujcie się, jutro przeczytacie w mojej rubryce — zapewnia

przedstawiciel „Expressu“, ceniony dowcipniś.

Kocie fby nie są przyjaciółmi kolarzy. Kłabiński ma defekt, Królak czeka — później obaj rozpoczynają gonitwę! Nie wychodzi!

Seria gum i defektów ciągnie się aż do Wawra: Seliga, Hadasik, Dimitrow, Falkboll, Donker, Schur... Ekipa polska przychodzi na dalekich miejscach. Młody Belg, Verschuren, przejeżdża pierwszy przez wiwatujące ulice Warszawy — prosto do mety na stadionie CWKS!

TRIUMF STABLEWSKIEGO

Nazajutrz Verschuren startuje w żółtej koszulce lidera. Drużynie belgijskiej najbardziej zagrażają Cześci: Vesely i Svoboda zajęli w I etapie — trzecie i czwarte miejsce.

Jedziemy do Łodzi! Szosa wolska, później Mory i Ołtarzew. Droga bardzo ładna, ocieniona, prosta. Mijamy Ożarów. „Tutaj urodził się Kusociński“ — zawiadania rzeczowo jeden z dziennikarzy. Przerywa mu radio: Tempo rośnie! Ponad 40 km na godzinę! Od zasadniczej grupy odpadają Anghelli i Sotti, a później Niemi! Na krawędzi szosy dzieci ze szkoły w Święciech machają chorągiewkami; w Błoniu tłumy ludzi, dwie orkiestry, transparenty.

Ośmiu kolarzy próbuje oderwać się. Jest wśród nich Wójcik. Zaczynają się defekty. Znowu to samo:

— Czołówka zlikwidowana! — melduje radiowiec. Przed Łowiczem — nowy zryw: Wójcik i Lipka próbują ucieczki. Naciskają pedały, odrywają się. Na bardzo krótko. Znowu — przebite gumy, defekty i... dalekie miejsca Polaków.

Ulice Łodzi wypełnione są tysiącami ludzi. Oklaskują oni triumfatorów dnia — drużynę CSR: Svoboda jest pierwszy, Vesely — trzeci, piąty Knezourek. Drużyna polska rehabilituje się na mecie w Chorzowie, po ciężkiej jeździe na trasie 223 km.

Był to jeden z wielkich kolarskich dni. Zwycięzca etapu i nowy lider wyścigu, Polak z Francji Stablewski, przyjechał na metę po 50-kilometrowej, samotnej jeździe. Uciekł grupie złożonej z doskonałych kolarzy i nie pozwolił się dopędzić. A przecież przeciętna szybkość 3 etapu, najdłuższego w całym wyścigu, wynosiła 42 kilometry na godzinę!

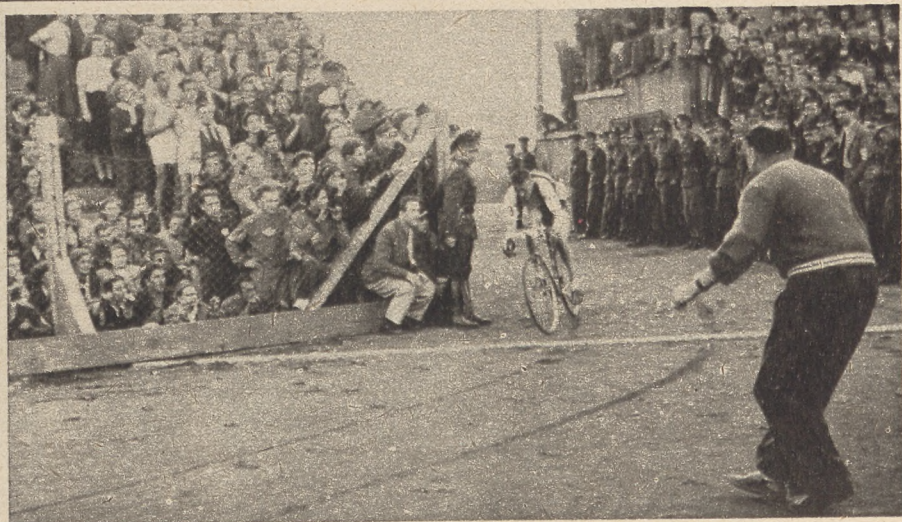
Łódź — Chorzów: po dwudziestu kilometrach rozpoczyna się tasowanie poszczególnych grup kolarzy. Ucieczki, zrywy, pierwsi maruderzy, defekty. Koło wiatraków za Padolinem, Holendrzy

BERLIN — PRAGA

SPECJALNY
FOTOREPORTAŻ
„ŚWIATA“



Pechowcy zaraz dogonią czołówkę.



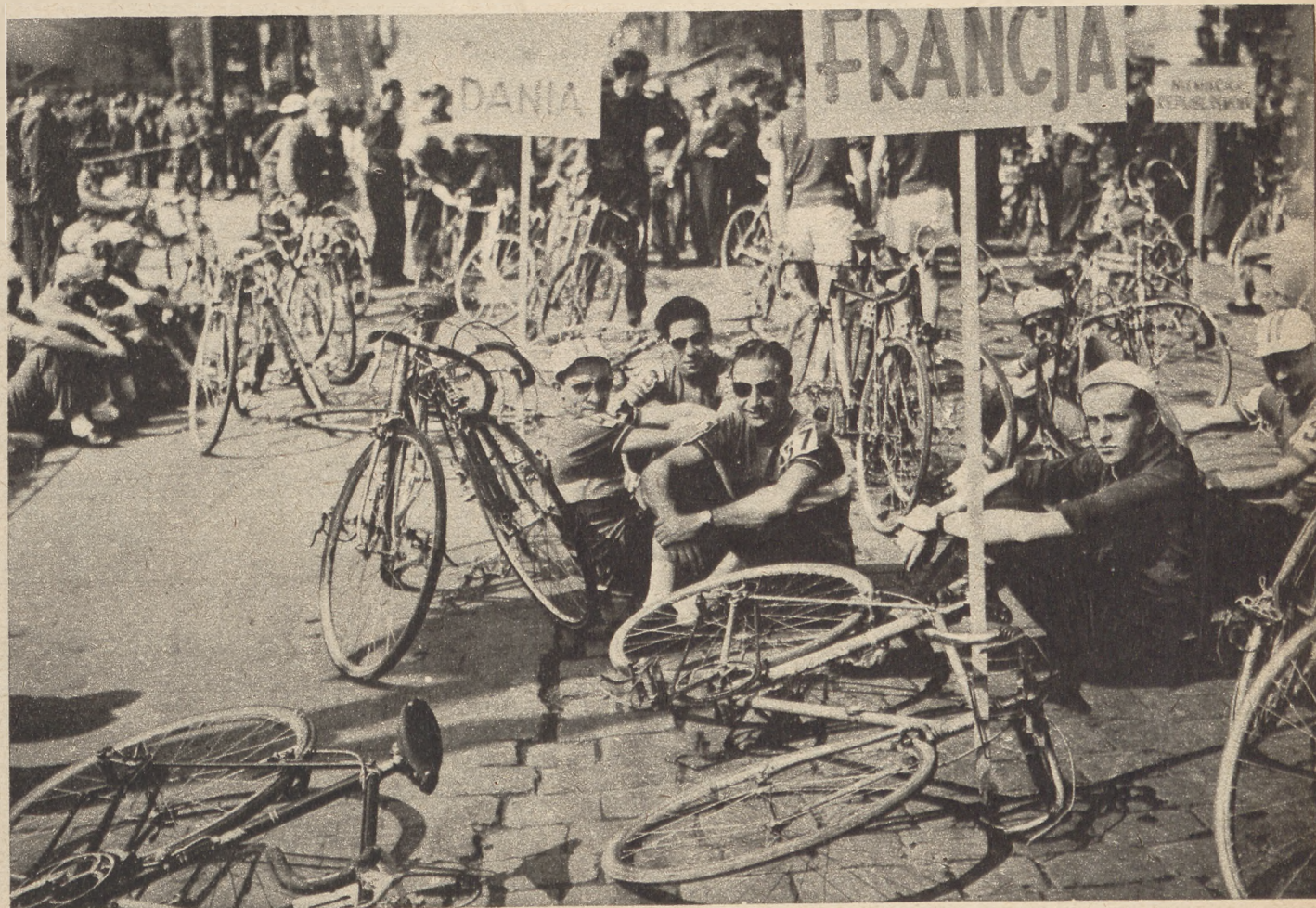
Brawo, Verschuren! Belg wpada pierwszy na metę I etapu w Warszawie.



Hadasik ma chwilę wychynienia.



Po zmęczeniu na trasie — masaż.



Audemard, Jonet i Garnier przed startem do wyścigu braterstwa i przyjaźni na trasie Warszawa — Berlin — Praga.

przyspieszają. Karlin wita ich fanfarami. Ale na następnych kilometrach wszystko się zmienia.

Nasz autokar jedzie w stronę czołówek. Mijamy kolejno Sottiego i Pukkinę; Joneta (defekt!) i czekającego na niego Fawiera; Anghelli'ego i Weihsenbachera (Austria); Kasslina i grupę Belgów czekających na Van Loverena naprawiającego rower. Francuzi Jonet i Favier rozpoczynają pogoń, później dołączają się do nich Belgowie.

Na czele wyścigu w okolicach Janówki rozciąga się tymczasem długi rząd kolarzy. Jest właśnie piękny zakręt przed Ignacowem, szeroki, zamasywany. Jadą przez ten zakręt zawodnicy w koszulkach o 7 barwach i 17 emblematkach; jada później polyskujące w słońcu „Warszawy” i wozy obsługi technicznej.

Na horyzoncie linia lasu, bliżej pola uprawne, kwitnące jabłonie; a zupełnie blisko Rumun Nuta i Węgier Domian przebijają gumy.

WIELKI WYŚCIG TRWA

W Górzach sytuacja klaruje się nieco. 15 kolarzy jest w czołówce — jadą z nimi Polacy: Kłabiński, Królak, Wrzesiński. Przed Kłomnicami ucieka-

ją: Stablewski, Verschuren i de Groot. Dzieje się to na trudnym wzgórzu przed Rędzinami. Finisz lotny jest w Częstochowie. Zwycięża Duńczyk Pedersen. Kolarze mijają Olsztyn Karliński i walą na Koziegłowy. Podzieleni są na wiele grup i rozciągnięci jak nigdy dotąd. Jadą po dwóch, po trzech, po sześciu. Większa grupa (jest w niej Jarząbek) liczy około 20 kolarzy. Wzgórze w Koziegłowach tasuje dalej. Później jest odcinek pięknej drogi koło Siewierza. Po obu stronach płaski po-fałdowany trochę teren, zagajniki, jary. W czołówce — 4 kolarze NRD (drużynowi zwycięzcy etapu), 3 Duńczycy, Hadasik, Stablewski... Przed Będzinem — zryw Stablewskiego, uwieńczony powodzeniem i zwycięstwem w Chorzowie. Drużyna polska jedzie bardzo dobrze: przeskakuje z 16 na 7 miejsce w klasyfikacji ogólnej!

Po drodze — setki tysięcy ludzi, setki tysięcy uśmiechniętych oczu, orkiestry, transparenty, powiewają chorągiewki. I jeszcze jedno, bardzo charakterystyczne dla trasy W—B—P: strażacy w do-kładnie wyczyszczonych, błyszczących hełmach.

Wielki Wyścig trwa. Wszędzie — na grzmiących od okrzyków ulicach Górlitz,

w Częstochowie i przed kopalnią „Prezydent”, w Katowicach, Radomsku i Łodzi — jest to wielka manifestacja przyjaźni i pokoju. W programach wyścigu czytamy codziennie wypowiedź, wydrukowaną wyraźną, dużą kursywą:

„Walka o pokój i współpraca pokojowa między narodami stały się obecnie główną treścią życia miliarda ludzi na całym świecie. Do walki milionowych

mas na świecie przyłącza się coraz więcej sportowców z całego świata. Wychowanie fizyczne u nas, w krajach demokracji ludowej i w Związku Radzieckim służy nie tylko wychowaniu fizycznemu nowego socjalistycznego człowieka, ale również pogłębieniu wzajemnych przyjacielskich stosunków między narodami. Jedną z największych akcji sportowców w sprawie wywalczenia trwałego pokoju jest Wyścig Pokoju”.

Pozdrowienia od drużyny polskiej

Pozdrawiamy Czytelników
„ŚWIATA” x
„Pokoju” WARSZAWA-BERLIN-PRAGA

Kojcik Maucianh.
Kłomnicki
Kłomnicki
Kłomnicki
Kłomnicki
Kłomnicki

ŚWIĘTO ZWYCIĘSTWA



WAF

Oficerowie radzieccy składają zdobyte sztandary wojsk hitlerowskich pod mauzoleum Lenina w Moskwie... Siedem lat temu, 9 maja 1945 roku, skapitulowała Rzesza hitlerowska, zdruzgotana przez zwycięską Armię Radziecką. Od tego czasu narody całego świata czczą Dzień Zwycięstwa jako święto triumfu sił postępu nad faszyzmem, sił pokoju nad złowrogimi siłami wojny.

PRZECIWKO REMILITARYZACJI TRIZONII



Keystone

Lotna demonstracja w Berlinie zachodnim przeciwko remilitaryzacji Trizonii. Demonstracje takie odbywają się we wszystkich miastach Niemiec zachodnich, zgodnie z wezwaniem Prezydenta Piecka, który oświadczył w dn. 1 maja: „Wzywamy wszystkich Niemców, by przy pomocy masowych demonstracji i masowego strajku pokrzyżowali plany podpisania wojennego „układu ogólnego“.

KONGRES KOMUNISTÓW ANGIELSKICH



Grant

Prezydium Kongresu Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii oklaskuje sekretarza generalnego Partii, Harry Pollitta, po referacie, w którym wezwał klasę robotniczą Anglii do zaostrzenia walki przeciw rządowi Churchilla i knowaniom imperialistów.

STRAJK W NOWYM JORKU



Keystone

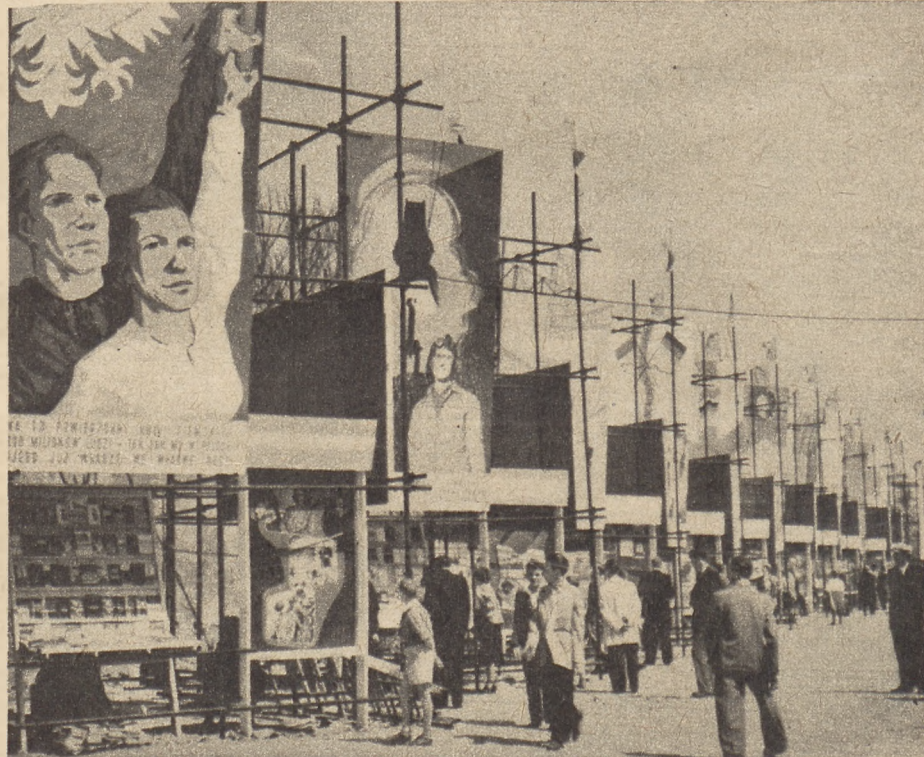
Siedemdziesięciu robotników i pracowników nowojorskiego oddziału koncernu Western Electric proklamowało strajk. Linie pikiet-kowych otwierał sześciolatek Charles Petersen, synek jednego z pracowników firmy.

ŚWIĘTO NARODOWE NRD



Dzień 8 maja, dzień kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy jest świętem narodowym Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Ta zbieżność dat jest miarą przemian, które na zachód od naszej granicy na Odrze i Nysie dokonały się pod przewodem W. Piecka.

NA KIERMASZU KSIAŻKOWYM



„Swiat”

Do najatrakcyjniejszych imprez Dni Oświaty, Książki i Prasy należą kiermasze książkowe na placach i ulicach miast. Centralny kiermasz w Alei Stalina cieszy się olbrzymim powodzeniem wśród mieszkańców stolicy — dorosłych i młodzieży.

7 ROCZNICA WYZWOLENIA PRAGI



9 maja 1945 roku jednostki Armii Radzieckiej wyzwoliły stolicę bratniej Czechosłowacji — Pragę. Obecnie narody Czechosłowacji obchodzą tego dnia święto państwowe — rocznicę całkowitego wyzwolenia kraju przez bohaterską Armię Radziecką.



SŁOWO JEDZIE NA WIEŚ

TADEUSZ SARNECKI — Zdjęcia: Z. MAŁEK

LISTONOSZE obwodowego urzędu pocztowego w Łowiczu całą gromadą wyjechali z bramy. Od rynku każdy skręcił w swoją stronę. Siąpił zimny, gęsty kapuśniaczek i asfalt lśnił jak lustro. Nie chcąc przewrócić się na oślizgłej jezdni, Kołodziejczyk skręcił w bok i jechał po drodze, wydeptanej przez pieszych. Pod wpływem wilgoci żwir zbił się w twardą masę i stanowił doskonałą nawierzchnię dla roweru. Obladowany gazetami i książkami listonosz poczuł się tu znacznie pewniej, nacisnął więc pedały, zwiększył szybkość.

Tak minął Górki i wjechał w rejon, który obsługiwał codziennie. Odtąd co kilkadziesiąt kroków będzie musiał zeskakiwać z roweru i pukać do drzwi każdej prawie chaty. W prawym boku dokuczał mu reumatyzm, rwało na niepogodę, czuł się dzisiaj zmęczony.

Na skrzyżowaniu dróg zatrzymała go ręką mała Wandzia Rybus. Nacisnął hamulec i jeszcze w pedzie zeskoczył.

Dziewczynka miała twarzyczkę poważną, pełną skupienia, zapytała: — Są „Świerszczki”?

— Są, oczywiście. Twój egzemplarz dać ci teraz, czy dostarczyć do domu?

— Niech pan zanieś do domu. Jest deszcz i „Świerszczki”, nim włożę go do tornistra, zmoknie. I książki mogłyby się zmoczyć.

— Taki skarb? — głośno, z udanym zdziwieniem wykrzyknął Kołodziejczyk.

— Pewnie. Są tam śliczne opowiadania i zagadki.

Przeskoczyła przez jezdnię i pędem pobiegła w stronę Łowicza, do szkoły. Kołodziejczyk patrzył za nią, aż nie zniknęła na zakręcie. Wyobraził sobie radość dziewczynki, gdy po przyjeździe do domu zacznie oglądać pisemko; zapomniał już o darcu w boku, zeszedł z drogi, oparł rower o ścianę

pierwszego drewnianego domku i wszedł do sieni. Przystępując próg mieszkania Stanisławy Borys zapomniał nawet, że czuł się dzisiaj zmęczony.

* * *

Stefan Kołodziejczyk sam się zgłosił do służby jeszcze w 1945 roku. Jakiś czas pracował w ekspedycji, ale pociągał go teren, pragnął jeździć od wioski do wioski z listami, przesyłkami i piśmami, być może dlatego, że czekały go tam — tak myślał — życliwe uśmiechy a czasami, gdy list przynosiłby dobrą a nieoczekiwaną wiadomość, prawdziwe wybuchy radości.

Rejon był ogromny, prowadził przez Górki Jastrzębskie, Zagórze, Otolicę, Ostrów, Bocheń i Mystkowice do Guźni położonej już w gminie sąsiedniej — pełne trzydzieści kilometrów trudnej, piaszczystej drogi! Zrazu nie wiedział, jak da sobie z tym radę. Wieczorem odczuwał tępe zmęczenie; gdy kładł się do łóżka, natychmiast zasypiał, ale rano pierwszym był w ekspedycji, aby już o ósmej wyjechać, na ten swój trudny, długi szlak pocztowy.

I z uśmiechami, z życzliwością ludzi nie było to tak, jak sobie wyobrażał. Listy, przesyłki pieniężne, paczki od rodzin, owszem, przyjmowano chętnie, ale gdy proponował gazety, w oczach spoglądał niechętny błysk. Coś go od tych ludzi dzieliło — Co? Pytanie to nie dawało mu spokoju.

Aż zrozumiał. Miejscowi chłopci, których odwiedzał niemal codziennie, niczego prawie nie czytali i do każdego drukowanego słowa odnosili się z nieufnością. Kalendarz i to raz na rok, mogliby nabyć, ale gazety? Co tam w nich „stało”? Same łgarstwa, nic więcej. Czas płynął i sytuacja ta nie ulegała zmianie. Kołodziejczyk przemierzał swą

Ośrodkiem żywego ruchu kolporterskiego wśród robotników i chłopów są świetlice i ludowe domy kultury. W roku bieżącym działa około 18.000 placówek tego typu. Z ruchem świetlicowym związany jest ściśle rozwój amatorskich zespołów teatralnych, obejmujących przeszło 15.000 członków. Przedstawienia w roku ubiegłym obejrzało 5 milionów ludzi.

drogę jak obcy, oddawał pocztę i oddalał się do następnej chaty; między nim a ludźmi, którym służył, nie zawiązywała się żadna życzliwość.

Dalej tak być nie mogło, powstało w nim nieprzepatrze pragnienie, aby tę obcość raz na zawsze usunąć. Zgromadził jak największą liczbę okazowych egzemplarzy gazet i rozdawał je po kilka na każdą wioskę. Chwyciło. Brano je dla papieru, ale nie obeszło się bez tego, aby w nie, z samej tylko ciekawości, nie zerknąć. Tak zaczęto przyzwyczajać się do czytania.

Po pewnym czasie Kołodziejczyk przerwał to bezpłatne dostarczanie piśm. Był ciekaw, co się teraz wydarzy. Przynosił list, pytali: — A gazety nie macie?

— Nie mam, przestali dawać — kłamał — trzeba by kupić, a to, choć niewiele, jednak kosztuje.

— A nie moglibyście dla nas zaprenumerować?

— Pewnie, że mógłbym. Jeśli tylko chcecie...

Od tej pory z tygodnia na tydzień rosła liczba prenumeratorów i Kołodziejczyk otrzymał pierwszą pochwałę i premię pieniężną.

Ogarnęła go z tą chwilą prawdziwa gorączka zdobywczy; tak szczęśliwie wynaleziony i tak skuteczny w działaniu sposób rozszerzał stopniowo z wioski na wioskę, działał przy tym nadzwyczaj systematycznie — aby objąć jak największe gospodarstwa, okazowe egzemplarze gazet rozrzucał na jedną tylko miejscowość. Gdy przynosił się z tą akcją do następnej wsi, z poprzedniej napływali już prenumeratorzy. Po roku, na dwa tysiące rodzin, zamieszkujących jego rejon, siedemset prenumerowało gazety. Był to rekord prawie dwukrotnie przewyższający osiągnięcia następnego z kolei listonosza tego samego obwodu.

Wzdłuż drogi Kołodziejczyka nie sta-

ły już obce, zamknięte przed nim chaty. Wchodził teraz do nich śmiało, miał tu już przyjaciół. Jeśli nie przejeżdżał drogą, znajomi niepokoiili się o niego i dzwonili na pocztę z zapytaniem, co się stało. Według jego przejazdów regulowali zegarki, był bowiem punktualny co do minuty.

Torba, szczególnie w piątki, tak była wypchana, że aż pękała w szwach. „Trybuna Ludu”, „Głos Robotniczy”, „Sztandar Młodych”, „Gromada”, „Chłopska Droga”, „Zielony Sztandar”, „Moda i Życie” leżały w grubych plikach obok piśm dla młodzieży. Ledwie zdołał to udźwignąć.

Choć praca nie była łatwa, żyć już nie mógł bez szlaku, a wtedy zjawiało się nowe jeszcze zadanie: kolportaż książek. Nawet o tym nie pomyślał, był trochę zaskoczony. Jak je rozpowszechnić, nie miał pojęcia — przypominały mu się wszystkie trudności z kolportażem gazet. Wieczorem przetrząsał pierwszą paczkę, były w niej dzieła znajome jeszcze z czasów szkolnych: „Pan Tadeusz”, „Stara Baśń”, „Krzyżacy”, ale i całkiem nowe powieści obcych, nieznanymi autorów, Gorkiego, Fadiejewa, Dickensa, Manna. Zagłębił się w czytaniu.

Rano, czując jeszcze zamęt po nieprzespanej nocy, jechał Kołodziejczyk z tak wypełnioną torbą, że z trudem utrzymywał równowagę. Najpierw przyszło mu wstąpić do Kulińskiej.

— Dzień dobry. Co słychać?

Miała zakłopotaną minę, bo co na takie pytanie odpowiedzieć. Wzruszyła ramionami.

— Dawno nie byłem — mówił — dziś przynoszę miły liścik.

— Skąd pan wie, że miły.

— Ja przynoszę same miłe liściki, przynajmniej staram się tylko o takie.

Kulińska rozciąła kopertę nożem i

W roku 1938 było w Polsce 1033 bibliotek powszechnych. W roku 1949 dzięki władzom ludowym, liczba ta wzrosła do 4000 i 20.000 wiejskich punktów bibliotecznych. W roku 1955 punktów tych będzie 33.000, a ogólna ilość książek bibliotecznych znacznie przekroczy 20 milionów tomów. O zapotrzebowaniu na książki świadczą wysokie nakłady. Roczny nakład książek osiąga dzisiaj 110 milionów egzemplarzy. Jednorazowy łączny nakład dzienników i czasopism wynosi obecnie 15 milionów egzemplarzy.

DALSZY CIĄG NA STR. 6

czytała z wielkim zainteresowaniem. Kołodziejczyk obserwował jej twarz z uwagą, był zadowolony, list nie przynosił nic przykrego.

— Proszę, niech pan siądzie — prosiła Kulińska chowając list do szafki — coż to dzisiaj ma pan tak wypchaną torbę?

— A, to książki!

— Książki? I po co?

— Aby czytać.

Kołodziejczyk położył torbę na stole i niby przypadkiem wysypał z niej wszystkie zabrane dziś powieści. Oczy Kulińskiej znieciły barwne, żywe okładki. Zaczęła czytać tytuły: — „Dziurdzio- wie“, „Macocha“, „Anna Proletariusz- ka“, „Wiosna w Sakenie“. Po ile to?

Niedrogo, wprost za darmo, i to ta- kie dzieła!

— No, więc po ile?

— Po dwa złote czterdzieści groszy, prawda że darmo?

— Istotnie.

Kulińska wybrała „Dziurdziów“. Ko- łodziejczyk wyszedł zadowolony, obej- rzał się, czy kto nie widzi, i na szczę- cie chuchnął w dłoń, w której trzymał pieniądze za pierwszą sprzedaną książ- kę. Nie był przesadny, ale chuchnąć nie zaszkodzi. Dzień nie był jednak najle- pszy, sprzedał zaledwie 10 książek, i to na 2 tysiące rodzin.

W inne dni poszło jednak lepiej; Ko- łodziejczyk szybko zorientował się, jak

wiała kupna książki z uporem. Byli to Władysław i Janina Krzywonię.

Siąpił zimny, gęsty kapuśniaczek i asfalt lśnił jak lustro. Kołodziejczyk wyszedł z mieszkania Borysowej, wsco- czył na rower, co sił pognął w stronę Otolica. Następną pocztę miał do odda- nia dopiero w kuźni Franciszka Mo- tyła; pochylił się i zawzięcie pedałowal.

Gdy przejeżdżał koło domu Krzywo- niów, wyskoczyła przed zagrodę sama gospodyni i coś krzyczała, ale nie przy- stanął. Przedwczoraj przyniósłszy jej z poczty pieniądze, chciał wykorzystać dobry nastrój i zaproponował sprzedaż książki. Krzywoniowa, prawie zła, ku- piła pierwszą część „Krzyżaków“ i nie można jej było wytłumaczyć, że bez drugiej części dzieło nie przedstawia żadnej wartości.

— Wystarczy jedna książka. I tak rzuci się ją w kąt.

Wobec takiego oświadczenia Koło- dziejczyk chciał książkę odebrać; ura- ziło go to traktowanie. Cóż to, łaskę mu wyrządzają, że kupują tak na od- czepne? Ale z Krzywonią nie moż- na było rozmawiać.

— Kupiłam tę jedną i nie oddam.

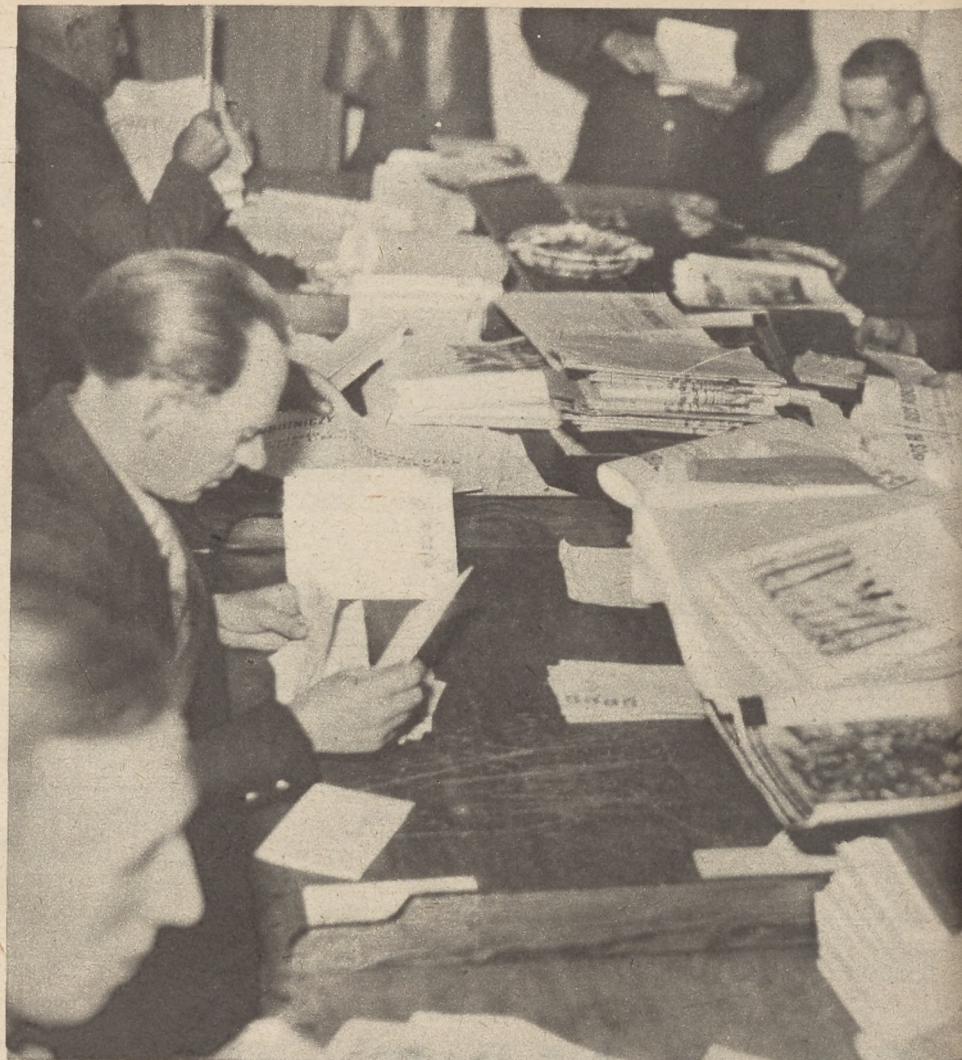
— A to nie! — Kołodziejczyk kipiał ze złości, ale zdołał się pohamować. Teraz jednak szybko przejechał koło ich domu i udał, że nie usłyszał nawo- lywania Krzywoniowej. A może chciała mu urządzić awanturę, kto ją tam wie. Od Kowala pojechał do Otolica, oddał

W przeciwieństwie do budżetów państw kapitalistycznych, budżet Polski Ludowej na 1952 rok stanowi dokument naszej polityki pokojowej i troski o człowieka. Wyrazem tego jest przeznaczenie na cele socjalne i oświato- wo-kulturalne 25,7% całego budżetu, czyli ponad 16 miliardów złotych. Ta ogromna suma pozwoli na rozszerzenie i pogłębienie wyników re- wolucji kulturalnej, pozwoli na dalszą rozbudowę oświaty i urządzeń kulturalnych, co stanowi dobitny i konkretny wyraz naszej woli pokoju, woli twórczej, pokojowej pracy dla ojczyzny, dla dobra własnego narodu.

należy sprzedawać. Chłopi dla siebie kupować nie chcieli, ale chętnie kupo- wali dla dzieci. I wszystko powtórzyło się jak z gazetami, najpierw tylko zer- kał, a już w zimie, w długie wieczory, czytali z namietnością. Otwierał się przed nimi nowy świat, w którym po- grążali się zapominając o wszystkim. Na szlaku jedna tylko rodzina odma-

pocztę w szkole, u Kałuckich i Żerka, powracał w dwie mniej więcej godziny, i już zapominał o Krzywoniowej, gdy ją znów spotkał na drodze. Tym razem stała przy samej szosie. Ujrzała go wi- docznie z daleka i natychmiast wyszła z domu. Nie mógł jej minąć, przystanął.

— Cóż to, omijasz nas, panie Koło- dziejczyk!



NIM LISTONOSZE WYJDĄ W TEREN, MUSZĄ POSEGREGOWAĆ TYSIĄCE

Listonosz ze zdziwieniem spostrzegł, że w głosie Krzywoniowej drgała nuta żalu. Tego bynajmniej się nie spodzie- wał.

— Nie omijam, nie. Jakże tak, do wszystkich wstępuję z jednakową ochotą.

— A krzyczałam wprzód, lecz pan pojechał.

— Nie słyszałam, to pewnie dlatego.

— Może pan wstąpi chociaż na chwi- lę.

Kołodziejczyk, dziwiąc się coraz bar- dziej zaszedł do samej chaty. W drzwiach powitał go Krzywoń. Co się stało? Na stole rozłożona leżała pierw- sza część „Krzyżaków“.

Przed chwilą przyniósł listonosz plik „Swierszczyków“ i oto co się stało — dzieci zerwały się z ławek i jedno przez drugie wyciągają ręce po pismo.



Kałucka to stara znajoma i kupuje chętnie nie tylko pisma, ale i książki. Najpierw przegląda jednak wszystko jak najdokładniej i wypytuje o treść.





Powszechność nauczania w Polsce przedwrześniowej była zwykłą fikcją. Milion dzieci pozostawał co roku poza szkołą powszechną, a w szkole średniej na troje dzieci chłopskich i czworo robotniczych przypadało 60-ciu dzieci bogaczy i przedstawicieli zawodów wolnych, którzy stanowili zaledwie 19% ludności całego kraju. Brak było internatów, stypendiów, a wysokie opłaty administracyjne zamykały drogę do oświaty wszystkim niezamożnym. Analfabetyzm był zjawiskiem nagminnym.

— No, za tę książkę, nie wzięliśmy drugiej części.
— Trudno, wasza wola. Moja zasada: klient zawsze ma rację.
— Tylko że — przerwała Krzywoniowa — deszcz lał i zaczęliśmy czytać...
— To dobrze.
— Ale nie wiemy, co będzie z tym Zbyszkim i Danusią. Ot, głupstwo, powieść, ale nie daje nam spokoju. Czy się pobiorą? A wróci ona od tych Niemców. Nie wie pan?
— Wróci, ale umrze Zbyszkowi w drodze, na wozie.
Krzywonię szczerze się tą wiadomością zmartwili.
— Że też tak im poszło: widziecie! — Dziwili się — A ma pan jeszcze tę drugą część? Jeśli jest, chętnie kupimy. Zapłacić możemy od razu.
— Nie trzeba, jak przyniosę.
— A nie zapomni pan? Coś innego też weźmiemy. Dzieci rosną, będą miały co czytać.
Kołodziejczyk wyszedł z chaty oszłomiony. Wsiadł na rower i wolno, zamysłony, jechał w stronę miasta. Nie czuł zmęczenia, ogarnęło go dziwne, nie doznane dotychczas uczucie; coś jak ciepło, które rozgrzewało go całego, coś jak nowa siła napędzająca go wzrastającą energią.

Zamajaczyła już przed nim poczta. Nie był to ten sam budynek, z którego wyjechał rano. Trzeba było sześciu lat pracy i tego wydarzenia z Krzywonią, aby w końcu pojął, czemu służył w swym życiu.

T. SARNECKI

PRZESYŁEK, LISTÓW I CZASOPISM.

Krzywonie prosili, aby usiadł; byli jacyś onieśmieni. Chwilę milczeli.
— A może napije się pan herbaty, tak! ziąb, brr! I mokro: siąpie i siąpie.
Gdy podano napój, Krzywoń ośmielił się wreszcie powiedzieć, o co idzie.
— Pewnie się pan na nas gniewa.
— A za co to?

Wandzia spotyka listonosza na drodze do szkoły i zawsze ma do niego moc pytań: „A czy jest list? A może są książki dla dzieci, takie z obrazkami?”



LEONARDO da VINCI

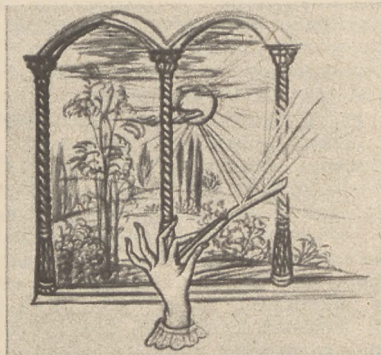
* BAJKI *

PRZEKŁAD LEOPOLDA STAFFA

Ilustrowała Olga Siemaszkowa

BRZYTTWA

Kiedy brzyttwa raz z owej wyszła [rękojeści]
Która za pochwałę służy jej: w słońcu [się mieści,
A ujrawszy, że w ciele jej się odbijało,
Niezniemą z tej przyczyny przejęła się [chwała;
I zbuntowana w myśli, rzecze: „Czyż [w tej norze
Znów zamieszkać, skąd wyszłam?
[O nie! Nie daj, Boże,
Piękności świetnej spodlić się tak [w swej istocie!
Toć szaleństwo, bym chłopskiej goliła [holocie
Mydlone brody, niby robocze narzędzie.
Czyż ciało to dla takich niskich ćwiczeń [będzie?
Zaprawdę nie! W zakątku gdzieś [schowam się skrycie
I w spokojnym wywczasie przepędzę [swe życie“.



Tak ukryta miesięcy kilka w swej ostoje,
Gdy znów raz na powietrze wyszła [z pochwy swojej,
Spostrzegła, że się stała, jakby rdzawą [piła
I słońce na powierzchni jej już się nie [lśniło.
Próżno płakała z żalem niepowrotnej [szkody,
Mówiąc: „O ileż lepiej mi u golibrody [byłoby
Było ćwiczyć stracone ostrze swe, tak [świetne!
Gdzież ma powierzchnia lśniąca? Rdzy [wstrętne i szpetne
Strawiły ją!“ To samo i z duchem się [dzieje,
Który zamiast się ćwiczyć gnuśnie [leniwieje;
Podobnie, jak ta brzyttwa, straci ostrz [bystrości,
A kształt jego popsowa rdza [nieświadomości.

RAK

Gdy rak, chcąc łapać ryby, czatował [pod skałą,
Kędy wchodziły: powódz wezbrana [nawała
Wpadła, a z nią wraz głazów niszczących [moc taka,
Ze, ścierając się z sobą, rozmiądzili [raka.



OSIEŁ I LÓD

Zasnawszy na jeziora głębokiego lodzie
Osieł własnem go ciepłem roztopił [i w wodzie
Znalazł się, na własne swe [nieszczście snadnie,
Zbudził się i niebawem utonął tam [na dnie.



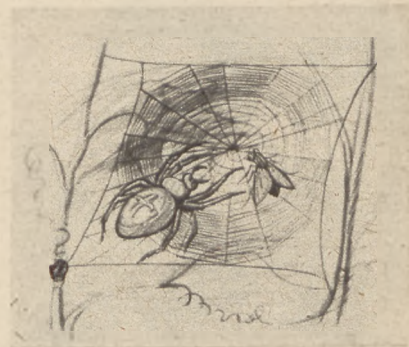
PAPIER I INKAUST

Papier, widząc, że cały inkaustu [czarnością
Poplamion jest, uskarżał się na to [z żalnością.
Inkaust odrzekł, że na nim napisane [słowa
Są przyczyną, dla której go jeno się [chowa.



PAJĄK I WINOGRONA

Pająk wśród winogrodu obrawszy [mieszkanie,
Na muchy tam żyjące czynił polowanie.
Lecz gdy czas winobrania nastał [oznaczony,
Wraz z winem i muchami został [rozłoczony.



NAUKA WINNA SŁUŻYĆ LUDZKOŚCI

Jak niektórzy, dzięki przyrzadowi, utrzymują się nieco pod wodą? Jak i czemu nie piszę o moim sposobie utrzymywania się pod wodą? Jak ja mogę długo utrzymać się, nie jedząc? Tego nie ogłaszam i nie rozwijam z powodu złej natury ludzi, którzy dopuszczaliby się morderstw na dnie mórz, przebijając spody okrętów i zatapiając je wraz z ludźmi znajdującymi się wewnątrz; a choć uczę innych sposobów, nie są one niebezpieczne, gdyż nad wodą ukazuje się ujście rury, przez którą się oddycha, a która umieszczona jest na buklakach lub korkach.

PIERWSZA BUDOWLA KOMUNIZMU

EDWARD KARŁOWICZ

Przed czterema laty, w maju 1948, przybyła do cichej wsi Iljewka grupa inżynierów i topografów. Przybyłszy rozbili namioty pomiędzy zabudowaniami wsi i płynącym w pobliżu Donem. Całymi dniami chodzili wzdłuż brzegu rzeki, brali próbki ziemi, wody, mierzyli wysokość i głębokość jarów.

Kozacy z Iljewki początkowo nie zwracali zbyt uwagi na przybyłych. Zainteresowanie zrodziło się nagle, jednego dnia, gdy topografowie zaczęli w różnych miejscach wsi umieszczać słupki z napisami. Oto na głównym placu wioski pojawiła się tabliczka: „Górne wrota służby Nr 13”, niżej, w krętej uliczce — „Dolne wrota służby”, dalej jeszcze rząd tabliczek z napisem „Oś kanału”.

We wsi potworzyły się grupki dyskutujących. Młodzi, starzy, cisnęli się do inżynierów, zarzucali ich setką pytań. Ci udzielali wyjaśnień, opowiadali o wielkich planach przyszłej budowy... Do grupy rozmawiających, zbliżył się wysoki, stary Kozak:

— A my — co, przenosić się będziemy?

— Tak wypada...

Kozak pochylił się nad skrajem popękanego pólka, ujął w rękę garść ziemi, już teraz, w czerwcu, zupełnie suchej. Scisnął dłoń — i grudka zmieniła się w żółtawy pył...

— A wody będzie teraz dosyć?

— Wody — w bród. Całe morze!

Kozak rozejrzał się po zebranych: — To czego się gapicie? Pakować się!

— Nie tak gwałtownie! — zaśmiał się inżynier. — Najpierw sobie miejsce wybieracie, potem wam domy nowe postawimy, i wtedy przeprowadzka... A woda — woda dopiero za cztery lata popłynie.

70.000 LUDZI Z MORSKIEGO DNA

Na trasie samego Kanału, jego 13 wielkich śluz i trzech rezerwuarów — niewiele było stosunkowo osiedli i stanic kozackich. Ale projekt przewidywał stworzenie na przestrzeni 360 kilometrów doliny Donu, nowego morza — morza Cymłańskiego. I okazało się, że przyszłe dno morskie zamieszkuje 70 tysięcy ludzi w trzydziestu dwu stanicach. Trzeba było dokładnie zaplanować „wędrowkę ludów” — przesiedlenie kilkunastu tysięcy rodzin.

Trzeba stwierdzić — znaleźli się niedowiarkowie. Niektórzy, zwłaszcza starcy, twierdzili: Korbajno to korbajno, maszyny — owszem, dobra rzecz. Ale Don płynie już tak od tysięcy lat — jaka siła go z miejsca ruszy? Zakrzyczeli ich jednak młodzi, ci zwłaszcza, co Dnieproges widzieli lub oglądali Kanał Moskwa-Wołga. Opowiadali o pracujących już w pobliżu koparkach-gigantach, co znoszą góry tak, jak leziesz pługa obraca skibę ziemi. I nieufni pomysłili: No cóż, trzeba zobaczyć, co z tego wyniknie... A przygotowania do akcji przesiedleńczej tak były prowadzone, że trudno było o jakiejkolwiek zastrzeżenia.

W stаницy wybierano delegację najpoważniejszych gospodarzy. Państwo dawało im samochód: jedźcie sobie po okolicy wzdłuż i w szerz, wybierajcie, gdzie wam najlepiej będzie. Siadali więc do auta, słuchając tysiąca rad i upomnień reszty kołchoźników. Długo krążyli po kraju: może tu lepiej, może tam wygodniej... A gdy wybór został dokonany — otwierali beczułkę wina: taki to już kozacki obyczaj.

Później Kozacy-kołchoźnicy razem z miejskimi architektami planowali: gdzie stanie szkoła, gdzie klub, gdzie warsztaty, gdzie młyn... Bo nową stanicę trzeba lepiej rozplanować, niż starą, budowaną przez dwieście chyba lat. Potem przyjeżdżały samochody z budulcem — i budowa ruszała.

Gdy jedną z największych stanic, Cymlańską, przeniesiono na brzeg przyszłego morza, przyjechał do przesiedleńców przewodniczący rejonowego Komitetu Wykonawczego. Wypytywał szczegółowo, czy mają jeszcze jakieś pretensje, życzenia, uwagi... Po długiej chwili milczenia wstał staruszek, jeden z wczorajszych „niewiernych Tomaszów”:

— Pretensji ani uwag mieć żadnych nie możemy, bo i nie ma o co. Ładniej, kulturalniej tu teraz mieszkamy, szkoda słów. A życzenia, to jeśli pozwolicie, mamy dwa. Pierwsze — żeby hotel nam w stаницy większy zbudowali: dużo tu teraz gości i turystów będzie przyjeżdżać, z całego Związku... A drugie życzenie — to żeby główna ulica w stаницy nazywała się ulica Morska. Ulica Morska w dońskim stepie!

DON PŁYNIE DO WOŁGI

Kanał Wołga-Don posiada na swej 101-kilometrowej długości 13 śluz. Umożliwiają one statkom przebycie działu wodnego, który wznosi się o 88 metrów nad poziomem Wołgi i 44 metry nad poziomem Donu.

Na początku budowy hydrologowie stanęli przed problemem: z jakiej rzeki brać wodę do zapełnienia Kanału i rezerwuarów? Inaczej mówiąc: czy Wołga ma płynąć do Donu, czy Don do Wołgi? Na pierwszy rzut oka wydawało się, że słuszniej będzie korzystać z wody wołżańskiej: Wołga ma jej znacznie więcej, a w dodatku Don będzie zaopatrywał kilka kanałów nadwadniających.

Ale Kanał Wołga-Don jest zaledwie jednym z wielu urządzeń hydrotechnicznych. Za kilka lat, po zbudowaniu elektrowni Kujbyszewskiej i Stalin-gradzkiej, Wołga będzie nawadniać miliony hektarów stepów nadwołżańskich. Poza tym — łatwiej podnieść wodę Donu o 44 metry, niż wołżańską dwukrotnie wyżej.

A więc trzeba korzystać z dońskiej wody. I w ciągu ostatniej zimy wody Donu ruszyły w pochód na wschód — ku Wołdze.

Jeszcze jesienią ubiegłego roku 13-kilometrowa zaporą Cymlańska, największa na świecie zaporą ziemną, zamknęła bieg Donu. W styczniu br. wody rzeki zaczęły napełniać morze Cymlańskie. 1 lutego ruszyły motory Karpowskiej stacji pomp — woda zapełniła rezerwuár Karpowski. Z kolei włączono pompy Marynowskiej stacji — wody Donu dotarły do rezerwuáru Bieresławskiego. Wreszcie uruchomiono ostatnią, Warwarowską stację pomp, i woda wypełniła najwyższy, Warwarowski rezerwuár. Stąd za pośrednictwem dziewię-

ciu śluz zostanie spuszczone o 88 metrów — do Wołgi.

TRZYDZIESTOTONOWE „CWIARTKI“

W czasie, gdy wody Donu przebywały stukilometrową drogą do Wołgi, trwały wytężone prace na Cymlańskim węźle wodnym, tam, gdzie u wielkiej zapory powstaje elektrownia o mocy 160.000 kilowatów. I w ramach tych prac zrealizowane zostało niezwykle, niespotykane w historii budownictwa przedsięwzięcie.

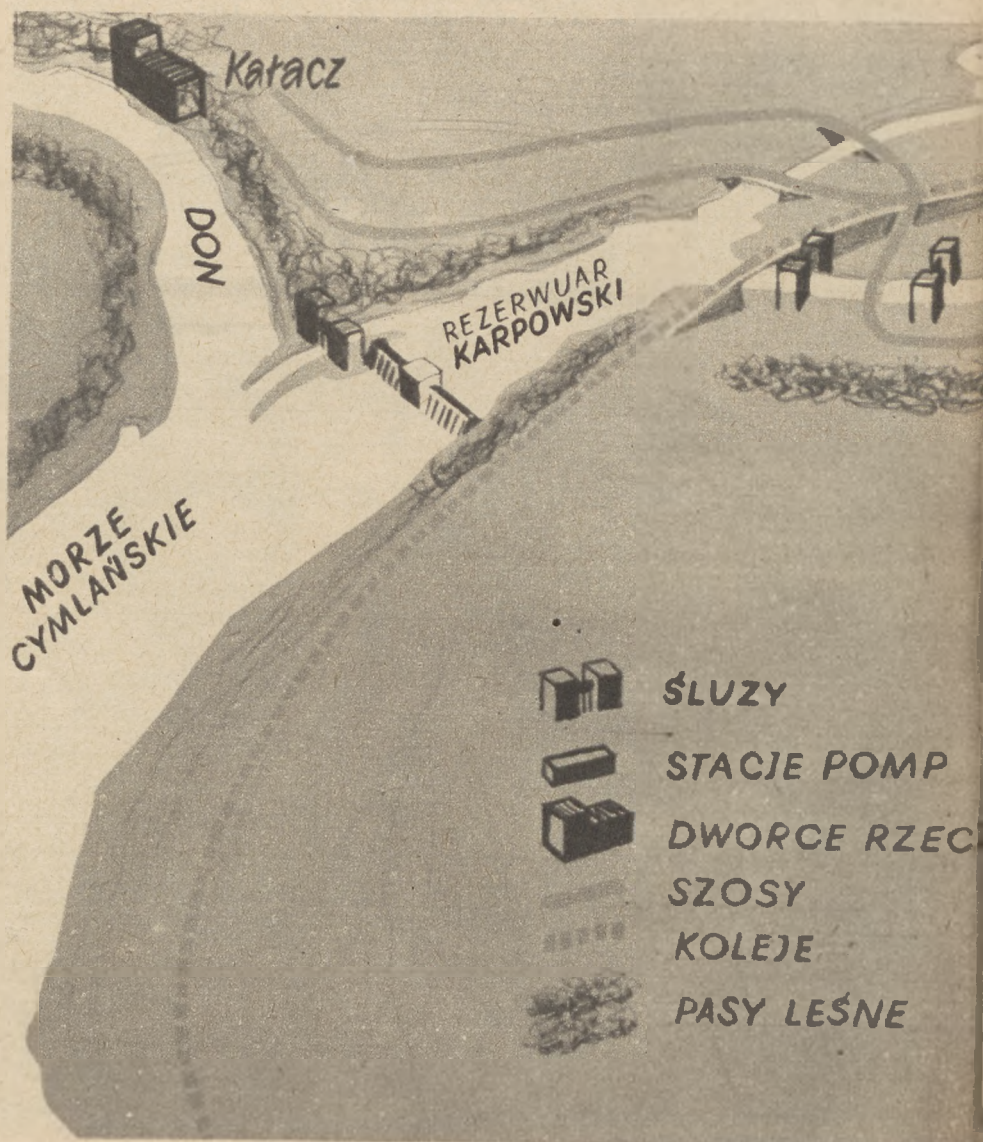
Normalnie tok prac przy budowie nowej elektrowni wygląda tak: najpierw buduje się halę, potem w hali montuje się suwnice, a z ich pomocą przystępuje się do montażu turbin i generatorów. Ten ustalony porządek wywrócili do góry nogami montaźowcy z leningradzkiego przedsiębiorstwa „Spec-hydroenergmontaż”, zatrudnieni przy Cymlańskiej elektrowni.

Kiedy jeszcze w podwodnej hali turbin trwało układanie betonu, montaźowcy pod kierunkiem inżyniera Siergieja Pietrowa przystąpili do montowania 120-tonowych statorów turbin. Wykorzystywali najmniejsze przerwy w pracy zbrojarzy, spawaczy i betoniarzy, i ostrożnie spuszczały dźwigiem kolejowym trzydziestotonowe „cwiartki“ statorów. Pozwoliło to zaoszczędzić 30 dni roboczych. W ten sam sposób zostały wmontowane łopatki aparatu regulującego strumień wody, na wirnik turbiny oraz reszta potężnych mechanizmów. Znów dwadzieścia dni zysku.

W czasie, gdy budowniczy wznoszą



P. Koczerzenko, kierownik zmiany przy pracach oszaleniowych przy budowie Cymlańskiego węzła wodnego, jest jednym z tych, dzięki którym postępy prac na Wołgo-Donie wyprzedzają harmonogramy.



sili halę maszyn elektrowni, montażyści w pobliżu niej oczyścili niewielki plac, ustawili dwunastometrowej wysokości konstrukcję ruchomą i przystąpili do montażu suwnic, ważących po 130 ton. Gdy w hali były gotowe tory podsuwnicowe — przystąpiono od razu do ułożenia na nich suwnic. Trwało to cztery dni — zamiast dwóch miesięcy!

Następnym etapem pracy montażystów były łoża generatorów, montowane na zewnątrz, a później — w stanie gotowym — umieszczane w hali. Praca trwała równocześnie na dwóch odcinkach: budowy i montażu. Ludzie „Specydroenergmontażu” wysunęli się na czoło 1-majowego współzawodnictwa na Cymlańskim węźle wodnym.

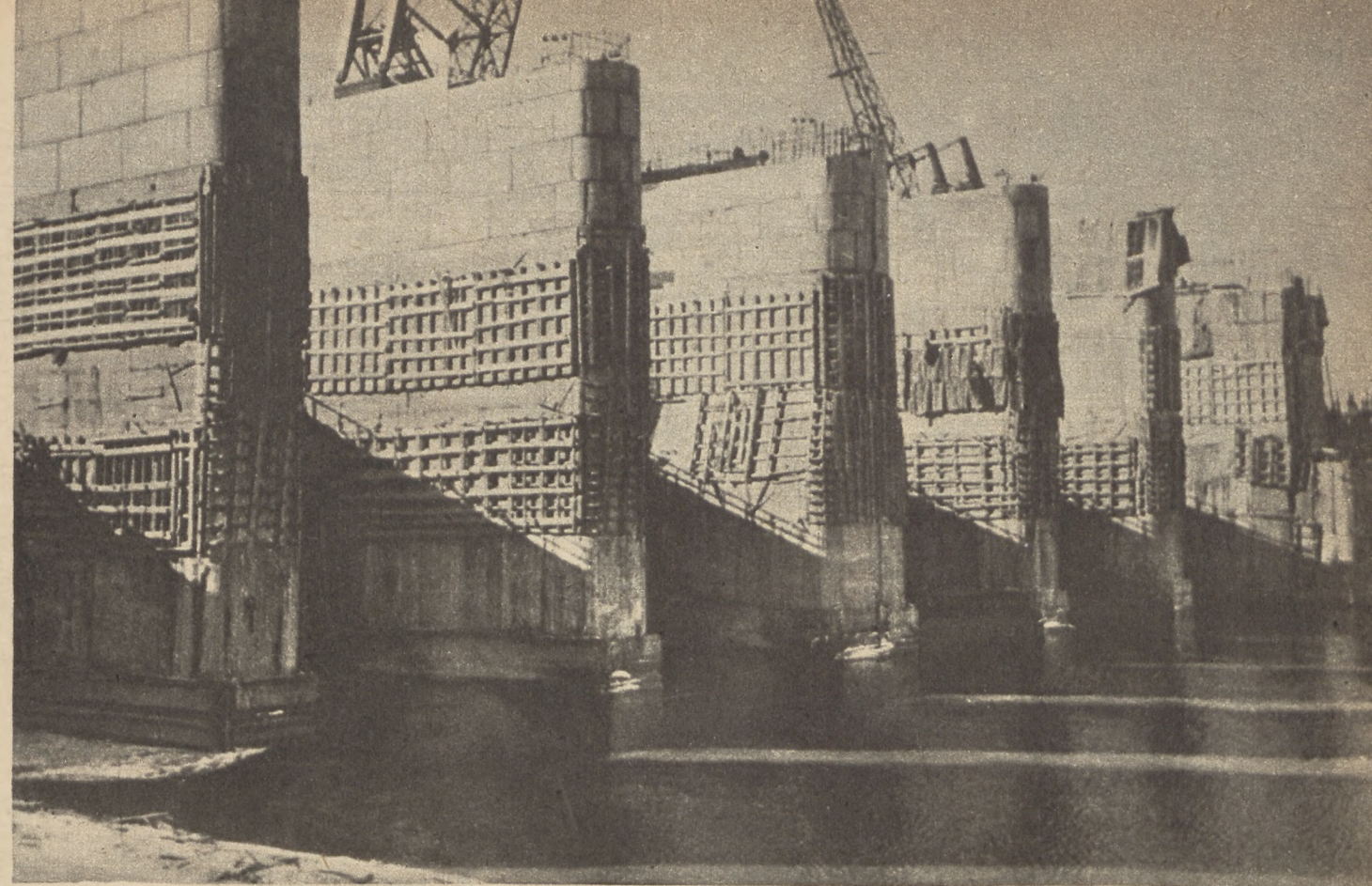
KOTWICE NA GUZIKACH

W ciągu ostatniej zimy budowniczy Wołgo-Donu coraz więcej dostrzegali oznak, świadczących o bliskim zakończeniu olbrzymiej budowy. Mówili o tym nie tylko coraz wyżej wznoszące się mury śluz, stacji pomp i elektrowni. Oto bowiem pewnego letniego dnia zaroiło się nad Kanałem od ludzi z kotwicami na guzikach mundurów i płaszczy. To przybyli kierownicy śluz, portów, absolwenci szkół transportu wodnego — ci, którzy przyjmą gotowy Kanał i będą kierować jego eksploatacją.

Równocześnie w stocznich powstają statki dla przyszłej linii pasażerskiej Moskwa-Stalingrad-Rostów. Oto jeden z typów produkowanych statków: napęd dieslowo-elektryczny, moc motorów ponad 2000 koni mechanicznych, trzy pokłady, pięćset miejsc sypialnych, salony, czytelnia, kino, sala koncertowa...

Znacznie większe jest znaczenie nowej linii dla transportu towarów. Przez Wołgo-Don popłyną do Zagłębia Donieckiego maszyny z Moskwy i Leningradu, drzewo i ruda z Uralu. A w przeciwnym kierunku — węgiel, metal, pszenica. Dla obsługi tej trasy buduje się nowe holowniki o mocy 600 i 450 koni mechanicznych, oraz 1000-tonowe barki bezpokładowe, opatrzone wszystkimi urządzeniami do mechanicznego załadunku i wyładunku. Zaplanowane zostały także wielkie tankowce rzeczne oraz statki-chłodnie, do przewozu mięsa, ryb i owoców.

Inną oznaką, która jeszcze pod koniec zimy unaoczniała budowniczym bliski ko-



ROSNAĆE MURY ŚLUZ PRZYPOMINAJĄ BUDOWNICZYM KANAŁU O BLISKIM ZAKOŃCZENIU BUDOWY.

niec budowy, było skierowanie części transportu samochodowego do zgola nieoczekiwanych prac. A mówiąc ściślej widok, jaki pewnego dnia ukazał się budowniczym. Oto bowiem szosa wzdłuż Kanału wyglądała, jak... jadąca w szybkim tempie aleja parkowa. Przed oczami zdumionych widzów przesuwali się klony, topole, akacje, jesiony... Z bliska dopiero można było zauważyć, że drzewa te — to ładunek długiej kolumny samochodów.

— Las na kółkach — żartowali niektórzy.

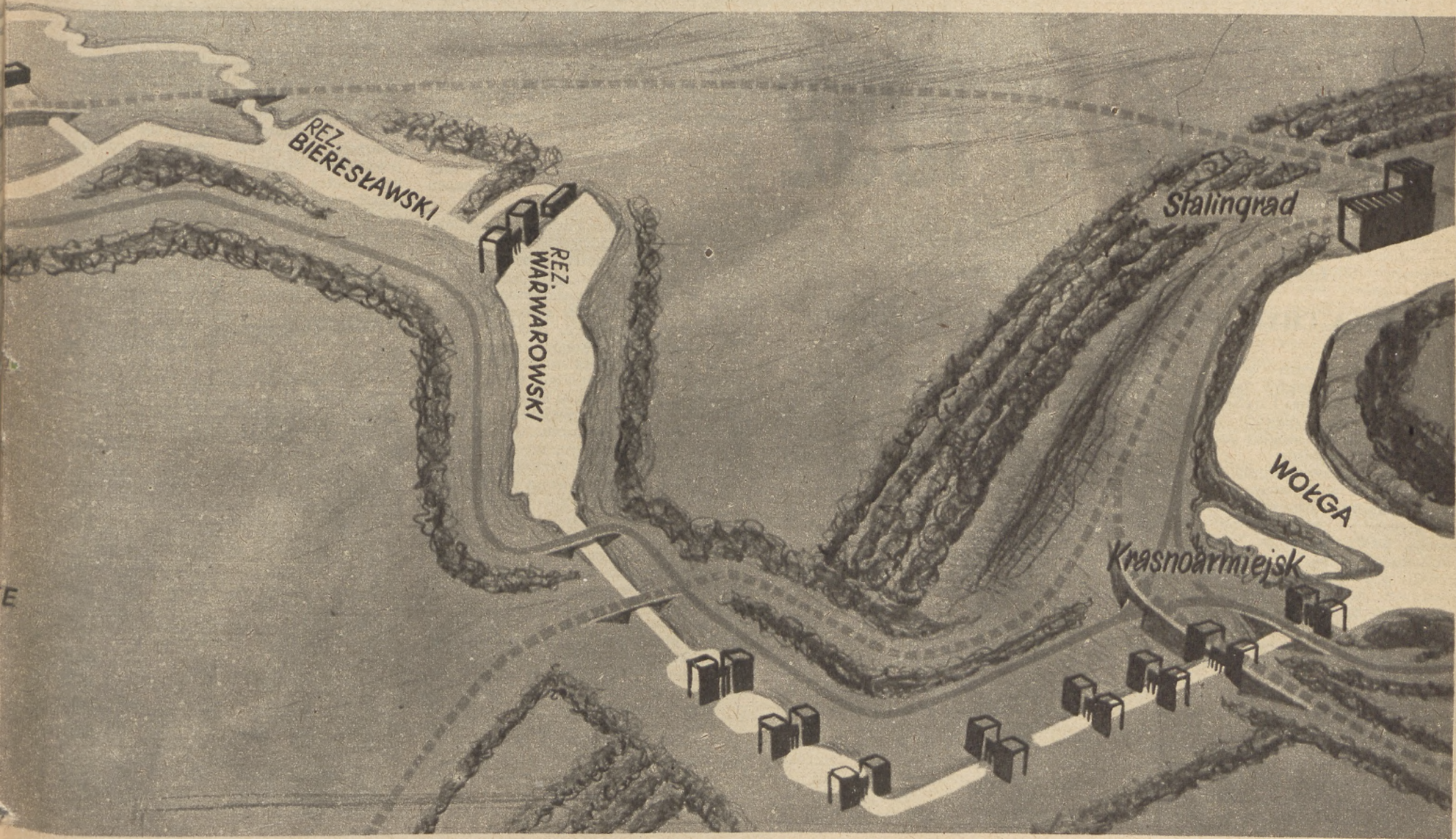
Brzegi Kanału, zapory, śluzy — zo-

staną zadrzewione. Ale budowniczowie nie mają zamiaru czekać, aż wyrosną drzewa. Jeśli Kanał ma być gotowy — to już ze wszystkim... I oto spod Stalingradu, ze szkółek leśnych, ciągną kolumny samochodów, wiozą starannie opatulone drzewa.

Gdzieś na stromym urwisku zatrzymują się samochody. Z jednego z nich wyskakuje młody szofer. Podchodzi na sam brzeg zaśnieżonego, kamienistego urwiska, spogląda w dół i mówi do towarzysza:

— Patrz, jak ładnie będą się tu odbijać topole w wodzie Kanału...

Ostatnie tygodnie budowy na Wołgo-Donie upływają pod znakiem narastającego tempa i rekordów produkcyjnych. Wyrobień społeczny i fachowość budowniczych, ich pomysłowość i entuzjazm twórcy — wszystko to staje się źródłem cennych osiągnięć przybliżających datę ukończenia budowy. Ludzie, wczoraj pracujący przeciętnie, dziś są stachanowcami. Wczorajsi stachanowcy — ustanawiają nowe rekordy. Im przypadł bowiem w udziale niezwykle zaszczyt: oddania w ręce swego narodu pierwszej budowli komunizmu.





Zbieracz i sprzedawca makulatury z II „Bezirk'u”. W wolnych chwilach grzebie w koszach na śmieci, by znaleźć papierowy skarb. Jest to zajęcie bardzo

rozpowszechnione wśród wiedeńskich dzieci. Handlarze płacą im szylinga za kilogram makulatury — ale nikt nie płaci im za narażanie zdrowia.

Wiedeń 1952

Od specjalnego wystannika „Świata“

KAMIŁA CHYLIŃSKA — Zdjęcia: OTTO HOROWITZ

Afisz jest bardzo wielki. Trudno przejść dziesięć metrów, by się nań nie natknąć. Rozmiarami i natrętnością bije wszystkie inne plakaty reklamowe. Niewtajemniczony mógłby uznać go niemal za godło Wiednia.

Afisz przedstawia głupio uśmiechniętą blondynkę w biustonoszu amerykańskiej produkcji. Amerykańska reklama nie grzeszy — jak wiadomo — subtelnością. Skoro można w Nowym Jorku zachwalać „gumę, którą żuł lotnik w chwili, gdy zrzucał pierwszą bombę atomową na Hiroszimę” — dlaczegoż nie można by w naddunajskim grodzie sławić wdzięków biustonosza marki amerykańskiej, mającego zaćmić świetność katedry św. Szczepana czy zamku w Schönbrunn.

Powłóć się przybylszu śladami twej dawnej znajomości tego miasta. Przemierz tradycyjną trasę Ringów, by natknąć się na wciąż jeszcze nieodbudowane gmach Opery. Zmieszaj się z tłumem w najbardziej ożywionej dzielnicy śródmieścia, na Kärntnerstrasse, Graben, Kohlmarkt, Tuchlauben, by podziwiać

wytworność wystaw i pustkę sklepów, by tuż obok luksusowych magazynów ujrzeć wyciągniętą dłoń żebraka, by podsłuchać rozmów o butach, na które nie można sobie pozwolić. Wejść do kina, zwabiony reklamą równie przebiegłą jak przekorna, głoszącą, iż przebój pt. „Stacja Końcowa — Zażdza” — nie jest filmem dla ludzi niedojrzałych. Zobaczysz na ekranie furie szizofreniczki i miłość brutalną; sadyzm i obłąkanie, chorobę i zbroczenie. Kup bilet do teatru „Courage”, szczytającego się mianem „sceny literackiej”, lub do Josephstadttheater, ongiś na świat cały roznoszącego sławę Maxa Reinhardta. Z desek scenicznych przemówią do ciebie mordercy, degeneraci i pijacy, olśni cię wspaniałą grą Hilda Krahla w roli Johny Belinda, głuchoniemej kobiety, kochającej jednego, a zgwałconej przez drugiego, zaskoczą cię mistyczne i pobożne happy-end'y. Rzuć okiem na witrynę księgarni, by naliczyć siedem książek o Hitlerze i jego kompanach. Wstąp do sklepu z zabawkami, będącymi kiedyś chlubą lekkiego

przemysłu Austrii, by roztkliwić się nad losem skrepowanego sznurami cowboy'a, do którego strzela czerwonoskóry Indianin.

Bola nogi od włóczęgi po mieście niegdyś widzianym, a jednak obcym. W bufecie „Espresso” można pokrzepić się kawą, lub jeśli kto woli — lodami „cassata”. Zażywny i spocony mężczyzna, siedzący przy sąsiednim stołiku w towarzystwie młodzianki dziewczyny, zapytuje znajomego kelnera, czy nie byłoby dla niej pracy w zakładzie.

— Pracowała już pani zawodowo? — pyta kelner.

— Nie — brzmi odpowiedź.

— Czy zna pani obce języki?

— Trochę angielski.

— O, trudno będzie — odpiiera kelner z typowym dla wiedeńczyków przejęciem. — Koleżanka, która pracuje przy maszynie z kawą, włada biegle czterema językami.

Taksówka przewozi mnie w inny punkt miasta. Wiedeń podlega wspólnemu zarządowi władz okupacyjnych czterech mocarstw, ma jednolitą walutę i jeden magistrat. Oprócz czterech sektorów okupacyjnych istnieje piąty, międzynarodowy. Podział miasta nie jest tak sztywny jak w Berlinie. Nawet rdzenni wiedeńczycy nie zawsze się orientują, w którym są sektorze.

Za przejazd taksówką płaci się sześć razy więcej niż wybija taksometr — chociaż w Austrii nie było ostatnio reformy walutowej. Ceny benzyny zmieniają się bowiem z szybkością odwrotnie proporcjonalną do dyplomatycznej galanterii szoferów, którzy u kresu trasy opuszczają miejsce przy kierownicy, by otworzyć pasażerowi drzwi od taksówki i schylić się przed nim w cesarsko — królewskim ukłonie.

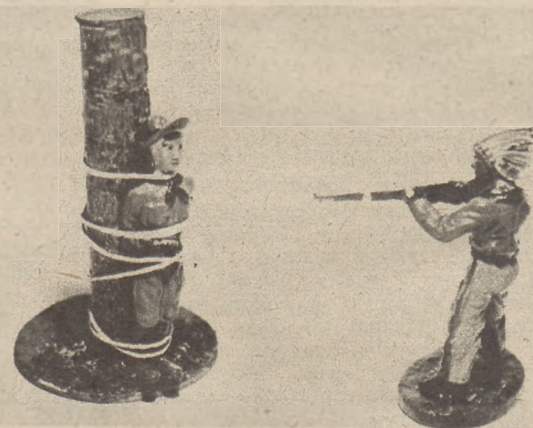
Nawet przygodny obserwator naddunajskiej stolicy zetknie się podczas krótkiego tutaj pobytu z palącymi problemami austriackiej gospodarki. Płacąc słono za skromny obiad. Słuchając ulicznych rozmów z niezmiennie nad innymi słowami górującym słowem „Schilling”. Patrząc na wystawy onieśmielające cenami. Czytamy w gazetach, wcale nie demokratycznych, wcale nie lewicowych, o kryzysie w przemyśle tekstylnym, o zapowiedzi podrożenia produktów rolnych, o redukcji zatrudnienia w fabrykach, o dylemacie między masowym bezrobociem a inflacją, o dzieciach trudniących się sprzedażą makulatury, wygrzebywanej w koszach na śmieci.

Nawet przygodny obserwator naddunajskiej stolicy spostrzeże się bardzo szybko, że ów mały kraj, czerpiący niegdyś pokaźne dochody z turystyki — ugiął się dziś pod brzemieniem bynajmniej nie turystycznej obecności okupanta amerykańskiego. Austria dostąpiła wątpliwego zaszczytu uczestniczenia w bloku atlantyckim. Sam Mr. Truman oświadczył równo rok temu, że posiada ona, obok Niemiec zachodnich, Jugosławii i Triestu, specjalne znaczenie strategiczne w Europie. Granicząc z Włochami i Jugosławią od południa, a z Trizonią od północy, stanowić ma wraz z tymi krajami i północną Afryką południowy odcinek frontu atlantyckiego.

„Nasze rzeki nie płyną dla nas” — mówi pewien pracownik elektrowni. Austria, wielki producent prądu elektrycznego, dostarcza go Niemcom zachodnim, odcinając dostawy energii własnemu przemysłowi konsumpcyjnemu. „Cóż mamy z drzewa, które mogłoby być jednym z naszych najważniejszych artykułów wywozowych, skoro ograniczenia w transporcie niszczą austriacką zdolność konkurencyjną na rynkach zagranicznych!” — wyjaśnia mi inny rozmówca. „Nasza żandarmeria jest załazkiem agresywnej armii” — powiada dziewczyna z Wolnej Młodzieży Austriackiej. „Salzburg musi pozostać ołtarzem sztuki!” — pisze gorąco światowej sławy śpiewaczka austriacka,

Lotte Lehman, protestując przeciw przekształcaniu miasta i otaczającego go terenu w główną kwaterę dowództwa wojsk amerykańskich z Austrii i Bawarii, protestując przeciw rekwizycji 200 hektarów gruntu na cele wojskowe i pozbawieniu dachu nad głową oraz dobytku mieszkańców wiosek Wals i Siedenheim. „Austria, to nie Dziki Zachód!” — wołają ludzie, demonstrujący przeciw zalewowi kin przez amerykańskie filmy kryminalne i gangsterskie. „Świat nie da się oszukać przez kryminalistów i gangsterów!” — chciałoby się krzyknąć przygodnemu obserwatorowi Wiednia na widok gablotki propagandowego ośrodka amerykańskiego, zachwalającej amerykańską pomoc dla Austrii i amerykańską „gotowość do pomocy w zwalczaniu chorób epidemicznych” — w Korei.

Pali asfalt rozgrzany niespodziewanym kwietniowym upałem. Szeroki, przestronny plac Schwarzenberga w ciągu kilku dni zabarwił się soczystą zielenią. Wiatr znad Dunaju, bardziej modrego w walcu niż w rzeczywistości, przedwiecznym podmuchem chłodzi przechodniów. Przedwcześnie letnia czerwień słonecznego zachodu złoci pomnik dumnego generała niemieckiego. Nie jego jednak posąg góruje dziś nad placem. W głębi bowiem, jak gdy-



Oto zabawka, jakich w Wiedniu wiele. Do białego człowieka, przywiązano go do drzewa, strzela czerwonoskóry Indianin. Poglądowa lekcja budzenia nienawiści rasowej wśród dzieci i młodzieży.

by w drugiej części placu, wyodrębnionej i nazwanej Placem Stalina, na tle półkola białej, odcinającej się od zieleni parku kolumnady, wznosi się pomnik ku czci Armii Radzieckiej.

Siedem lat temu wyzwoliła ona tę ziemię.

Austria, pierwsza ofiara hitlerowskiej agresji, ponosi jednak odpowiedzialność za swój udział w wojnie u boku Hitlera. Opierając się na tym założeniu, sformułowanym przez rządy czterech mocarstw jeszcze podczas trwających działań wojennych, radziecka władza okupacyjna od pierwszej chwili popiera austriackie siły demokratyczne, walczące o wypłcenie dzie-

Pod plakatem amerykańskiego filmu — żebrak. Typowy widok wiedeński.



dzictwa hitlerizmu. Jednocześnie popiera ona dążenia austriackiego narodu do wolności i suwerenności. Wzmogła się w ciągu lat walka Komunistycznej Partii Austrii, walka wszystkich austriackich bojowników o wolność, suwerenność i pokój. Bronią oni dzisiaj prawa swej ojczyzny do swych rzek, swych bogactw, swej produkcji, swej kultury. Występują przeciw popieraniu i subwencjonowaniu przemysłu wojennego i pozbawianiu kredytów przemysłu pokojowego. Protestują przeciw przecinaniu żywego organizmu Austrii drogami strategicznymi, a domagają się otwarcia szerokiej, naturalnej drogi wymiany gospodarczej ze Wschodem. Walczą o traktat pokojowy i kres okupacji.

Niegdyś rozwój naddunajskiej stolicy wypłynął na fali rozwoju kapitalizmu w austro-węgierskiej monarchii. Gdyby nie stopniowe uprzemysławianie rozległego kraju, gdyby nie rozbudowa sieci kolejowej i bogaty, rolniczy „Hinterland“ cesarsko - królewskiego mocarstwa — nie byłoby zapewne kwitnącego, wirującego w takt straussowskich walców Wiednia. Słynna „Gemütlichkeit“ wiedeńskiej burżuazji i wiedeńskiego drobniomieszczaństwa przywarła z czasem do wyobrażeń o tym mieście. I jakkolwiek rozpadła się monarchia habsburska, jakkolwiek wypadki roku 1934 zboczyły krwią proletariatu wiedeński, jakkolwiek reakcja chadecka walcząc z klasą robotniczą, ułatwiła Hitlerowi „Anschluss“ — to jednak nie zginęły owe wyobrażenia o pogodnym, roztańczonej Wiedniu, w którym życie kształtowało się rzekomo na podobieństwo operetki Lehara, a satrapa Franciszek Józef występował w roli pocziwego, ojcowskiego staruszka.

Ale oto konfrontacja z rzeczywistością dzisiejszą zadaje cios sielankowym wyobrażeniom o Wiedniu i o Austrii. Stolica naddunajska, miasto, gdzie powstał „Zaczarowany Flet“, i „Figaro“, i „Fidelio“, rozbrzmiewa hałaśliwym, amerykańskim jazgotem. Salzburg, siedziba wspaniałych festiwalów, zaczarowany gród mozartowski, gdzie dzwony kościelne wydzwaniają miłosne arie z „Don Juana“, przekształca się w bazę wojskową, w zbiorowisko koszar i obiektów wojskowych. Okolice jego, do niedawna raj dla narciarzy, stają się wielkim placem przeladunkowym broni i amunicji. Alpy Tyrolskie, do niedawna raj dla turystów, przemieniają się w pas warowny. We wspólnych manewrach łączą się wojska amerykańskie, stacjonujące w Tyrolu i w Bawarii. Organ legalnej partii faszystowskiej lansuje otwarcie swe „anschlussowe“ wyznanie wiary. A Otto z „pocziwej“ rodziny Habsburgów domaga się nowej wojny.

Salzburg, zaczarowany gród mozartowski, stał się ośrodkiem militarystyki Austrii przez okupantów amerykańskich



Odbudowa szkoły policyjnej. Rząd austriacki znajduje środki na odbudowywanie jawnych lub maskowanych

Tego wieczora miał odbyć się w Wiedniu wiec z przemówieniem prof. Brandweinerja, przewodniczącego Komisji Prawników Demokratów do badania zbrodni amerykańskich w Korei. Zebrany oświadczone, że władze amerykańskie zakazały wiecu. Inny mówca postanowił jednak zastąpić profesora Brandweinerja. Przybyła policja i w ruch poszły pałki. Tłum zwał się mocniej, zacisnęły się pięści, wzniosły głowy.

Demonstracja przeciw zalewowi kin austriackich przez filmy amerykańskie. „Dziś szkoły morderców — jutro maso-

bięktów wojskowych. Natomiast odbudowa domów mieszkalnych utknęła od długich lat na martwym punkcie.

Skandowany okrzyk: „Ami go home“ brzmiał coraz donośniej.

Późno już było, gdy droga powrotna przywiodła mnie na most na Dunaju. Niebo jarzyło się blaskiem neonów. Z przeciwległego, narożnego słupa zwiślał zdarty czyjaś ręką afisz. Blondynka w amerykańskim biustonoszu szczyrzyła zęby do ziemi. Silniejszy podmuch powietrza zerwał ze słupa papier, który z szelestem obsunął się na bruk.

Od rzeki szedł wiatr wiosenny.

we groby“, „Te filmy wychowują zbrodniarzy“, „Austria nie jest Dzikim Zachodem“ czytamy na transparentach



JULIAN BRUN

(W 10 ROCZNICĘ ŚMIERCI)

„Rewolucja proletariacka obali kapitalizm, odgradzający masy od kultury, nie zniszczy kultury narodowej, lecz ją wzniesie. Zapewni rozkwit kultury, powołując milionowe masy do udziału w budownictwie socjalistycznym, w tworzeniu nowego, wolnego życia...“

„Przyszła Polska robotnicza i chłopska zawrze braterski sojusz z każdym ludem wyzwolonym z kapitalistycznej niewoli, spod obszarniczej pańszczyzny, spod faszystowskiego, okupanckiego jarzma...“

Słowa te, które ze zdumiewającą trafnością określały przyszłe losy naszego narodu, napisał w roku 1936 Julian Brun. W latach coraz dłuższych kolejek bezrobotnych na ulicach miast, w latach pacyfikacji głodujących wsi, w latach, gdy sanacyjni władcy kraju sprzedawali Polskę obcym monopolom i Hitlerowi — Julian Brun widział osiągnięcia narodu radzieckiego, wskazywał drogę walki, którą winny iść polskie masy pracujące, zdzierając maskę obłudy z oblicza nowoczesnej Targowicy. Spod pióra Bruna wychodziły płomienne odezwy, wnikliwe artykuły, broszury na tematy ideologiczne. Działalności publicystycznej — walce w szeregu SDKPiL i KPP — poświęcił Julian Brun całe swe życie.

50 lat temu 16-letni Julian Brun został wydalony z gimnazjum za udział w demonstracji pierwszomajowej. W roku 1904 poznał Pawiak i Cytadelę. Wielokrotnie był więziony przez carską ochronę, później, gdy już był działaczem KPP — prześladowany przez rodzimą defensywę. Jest nieustraszony: pisze do legalnych i nielegalnych organów partii, uczestniczy w naradach i zjazdach, studiuje i pogłębia swą wiedzę.

Współtowarzysz walki i pracy Bruna, Franciszek Fiedler, wspomina: „Jego myśl pracowała bezustannie, bez wytchnienia i każda rozmowa z nim, pełna uroku, pobudzała do myślenia. Publicysta z prawdziwego, najprawdziwszego zdarzenia — nie znośił łatwizny, nie cierpiał szablonu. Gdy omawiał zagadnienia, nie zatrzymywał się na powierzchni, lecz je zgłębiał, szukał wewnętrznych przyczyn, istotnych przyczyn“.

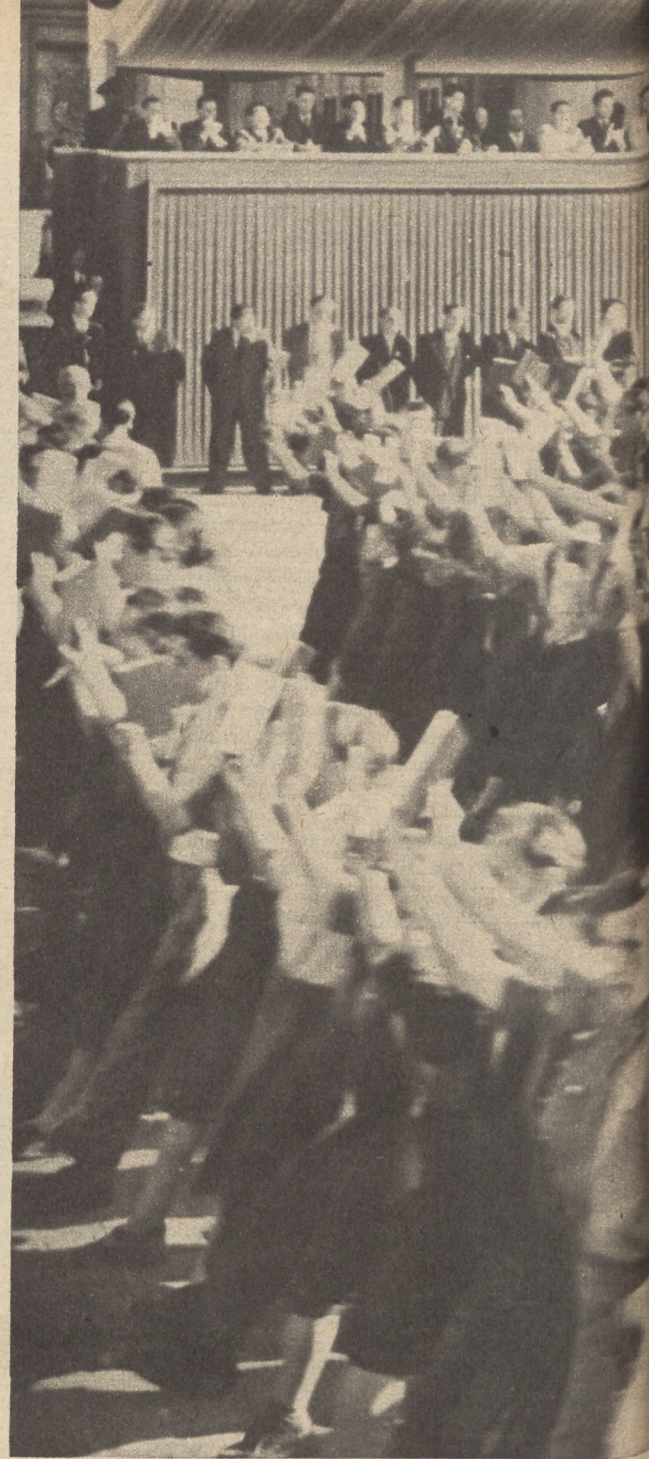
Prace publicystyczne Juliana Bruna nie tylko pomagały Komunistycznej Partii Polski w mobilizowaniu mas do walki przeciw ciemnościom i zdrajcom — odegrały one także ważną rolę w wychowaniu szeregowych komunistów-patriotów, współtwórców naszych dzisiejszych sukcesów.

Julian Brun nie dożył realizacji dzieła, o które walczył — zmarł w roku 1942. Ale sprawa, której poświęcił wszystkie swe siły, żyje i zwycięża. Walka, którą w ciężkich warunkach toczył, jego poświęcenie i ofiarność — jest dla nas wzorem. Jego gorące, płomienne umiłowanie ludu pracującego, sprawiedliwości i pokoju — jest drogowskazem dla dzisiejszego pokolenia budowniczych socjalizmu i pokoju.



CZOŁO POCHODU — SPORTOWCY.

PRZODOWNICY PRACY.



1 M

PRZED CENTRALNYM DOMEM.





PRZED TRYBUNĄ HONOROWĄ.

Zdjęcia „ŚWIAT”

MA 1952

ROWYM.



PRACOWNICY NAUKI.



ZESPÓŁ DZIECIĘCY Z KATOWIC.



Z PERSPEKTYWY OJCOWSKIEGO RAMIENIA.

NA TRASIE W—Z.





Portret własny Antoniego Kamieńskiego.

Antoni Kamieński

„O życie! życie — co ty robisz z ludzi... O ludzie! ludzie — co wy robicie z życiem!...”

Te słowa Maupassant'a wypisał na jednym ze swych kartonów młody rysownik, Antoni Kamieński. Była to połowa lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Artysta powrócił był z Paryża do Warszawy, gdzie miał pozostać i pracować przez długie lata.

Kamieński urodził się w roku 1861. W dziewiętnastym roku życia rozpoczął czteroletnie studia w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, poczem wyjechał do Francji, gdzie studiował rzeźbę i malarstwo. Tam, w roku 1891 odkrył właściwy kierunek swego powołania: czołowe paryskie pismo „Illustration” zamieściło szereg rysunków Kamieńskiego, otwierając mu drogę do sławy. Współpraca ta jednak trwała krótko. Kamieński nie umiał i nie chciał nagiąć się do zamówień wydawców. Pragnął poświęcić się twórczości

samodzielnej, samodzielny poszukiwaniom. Przewycięża w sobie wpływy symbolizmu i staje się realistycznym rysownikiem, umiejącym widzieć człowieka i jego los.

Po powrocie do kraju oddaje się pracy ilustratora, ze szczególnym zamięłowaniem kreśląc postacie bohaterów i bohaterek Orzeszkowej. Wypadki lat 1905 — 1907, rewolucyjne wydarzenia tych lat znajdują w Kamieńskim jednego z nielicznych artystów, głęboko zainteresowanych walką proletariatu. Tworzy wówczas tekę pt. „Duch-rewolucjonista”. Z tej teki pochodzą właśnie rysunki „Wiec dzieci”, „Propaganda”, „Szpieg”.

W swych rysunkach społecznych pozostaje Kamieński zawsze namiętnym oskarżycielem burżuazji i obrońcą wszystkich uciśnionych i wyzyskiwanych. Należy on do tych artystów, których dzieło trzeba wydobyć z zapomnienia.



Kostnica paryska.



Anastazja z powieści Orzeszkowej.



Propaganda.



Wiec dzieci



Szpieg.

nasi fotokorespondenci donoszą

AMBITNA PRÓBA

Ileż to filmów nakręcono o życiu teatru, a jak mało jest sztuk teatralnych o pracy filmowców, których rola w naszym nowym społeczeństwie jest tak doniosła...

jest ściśle związana z naszą pracą zawodową, a propagowanie kin wiejskich jest obowiązkiem każdego filmowca... Wniosek przyjęto i rozpoczęły się próby. Wtedy okazało się, że sztuka



Oto historia sztuki teatralnej o tematyce filmowej, sztuki zrealizowanej przez zespół amatorski. Pomysł zrodził się wśród członków amatorskiego zespołu teatralnego przy Okręgowym Zarządzie Kin w Poznaniu. W czasie dyskusji nad przygotowaniem repertuaru na Festiwal Sztuk Polakich, poprosił o głos przewodniczący komisji kulturalno - oświatowej, Feliks Werner:

— Stawiam wniosek, żebyśmy przystąpili do Festiwalu z naszą własną sztuką pt. „Kino wiejskie”, napisaną przez kolegę Jana Tonowicza. Sztuka powstała w naszym zakładzie pracy,

wymaga wielu przeróbek. Na kanwie pierwotnego szkicu Tonowicza zespołowo stworzono nową sztukę — komedię muzyczną, z melodiami opartymi na motywach ludowych, z baletem i chórami. Oczywiście „Kino wiejskie” miało równocześnie zawierać silny ładunek ideologiczny — ukazywać walkę klasową na wsi. Jak sprostano temu trudnemu, ambitnemu zadaniu?

Nadeszły eliminacje okręgowe i zespół, wystawiając po raz pierwszy tę sztukę, wpisał do programu następujące słowa: „...dziś mamy możliwość przejścia przez próbę ogniową i wysłuchania głosów krytycznych, które

8:1 DLA CRS



8:1 dla CRS — to już nie tytuł sztuki, ale wynik prawdziwego spotkania sportowego. Sezon piłkarski jest w pełni i przyniósł dużo emocji nie tylko zwolennikom „renomowanych” drużyn ligowych, ale także uczestnikom i sympatykom amatorskiego sportu w poszczególnych zakładach pracy. Rozegrany ostatnio mecz pomiędzy reprezentacją CRS — Katowice a jedenastką WHPS — Katowice obfitował w szereg ciekawych sytuacji. Dochód z meczu przeznaczono na dzieci koreańskie. Zwycięska drużyna upamiętniła ten dzień tradycyjnym zdjęciem.

Fot. Tadeusz Rzepkiewicz — Katowice

KSIĄŻNO — PERŁA ZAMKÓW ŚLĄSKICH

Interesującym miejscem wycieczkowym, zwiędzanym bardzo licznie w sezonie wiosennym i letnim, jest zamek w Książnie na Śląsku — dawna siedziba Bolka I, syna Henryka Brodatego. Usuwa się tam obecnie ślady poważnych dewastacji. Jakich dokonali Niemcy faszyści przekształcając zamek w kończący się w ufortyfikowaną siedzibę Hitlera. Tysiące ton betonu zużyto na budowę bunkrów i schronów, skąd prowadzili podziemne tunele do jeszcze bardziej ufortyfikowanych kwater Hitlera, Goeringa, Goebbelsa, Kettla i Raedera w pobliskim lesie głuszkim. Przy budowie tych kwater dla „odważnych” wodzów faszyzmu zginęło ponad 17 tysięcy więźniów z obozów koncentracyjnych. Na nic nie zdały się jednakże okrucieństwa miotanych strachem hitlerowców — roboty nie zostały ukończone... Potężne uderzenie Armii Radzieckiej wyzwoliło również i tę polną naszą Ziemię Zachodnią. Dzisiaj zamek w Książnie jest nie tylko zabytkiem z czasów piastowskich, ale także widomym symbolem zwycięstwa słusznej sprawy.

Fot. Leon Kucharzewski — Wałbrzych



dla nas będą drogowskazem dla dalszej pracy”.

Kurtyna poszła w górę, ukazując izbę Kopałów, średniorolnych chłopów z powiatu śródskiego. Ojciec, nieufny, uparty chłop, matka ciesząca się, że jej dzieci chodzą do szkół, że należą do ZMP, że nowe życie przyszło do zaniedbanej niegdyś wsi, że jest światło elektryczne, a wkrótce będzie stałe kino wiejskie...

Stary Kopała, przebywając w otoczeniu kulaków, jest pełen niechęci do wszystkiego, co nowe. Na tym tle powstaje spór z dziećmi... Stary zaczyna się w bezsensownym uporze, nie pójdzie nawet na pierwsze przedstawienie kina zbojkotowanego przez kulaków. Syn Kopały wpada na dobry pomysł przekonania ojca: przynosi do domu aparat projekcyjny i puszcza tam film... Ojciec, który zobaczył film po raz pierwszy w życiu, jest głęboko wstrząśnięty. Zrozumiał cały bezsens swojego postępowania i porzucił dawne uprzedzenia. Ubrany w odświętny strój wielkopolski idzie na przedstawienie, potem na wieczornicę, śpiewa piosenki i przytupuje w takt zadzierzgestego mazura...

Na tej prostej kanwie ukazuje sztukę walkę postępu z zacofaniem na wsi, rolę kina wiejskiego, pracę młodzieży ZMP-owskiej, doskonale podpatrzone sylwetki kulaków i kumoszek. Aby dojść do takich wyników, członkowie zespołu przedyskutowali kilka innych sztuk festiwalowych i książek o tematyce wiejskiej, odbyli wycieczkę do spółdzielni produkcyjnej.

„Kino wiejskie” zwyciężyło w miejscowych eliminacjach i pojechało do stolicy.

Sabina Kazanowska — Poznań
Fot. Zielenacki

ZAKWITŁY MAGNOLIE



W szczecińskich parkach zakwitły rzadko u nas spotykane krzewy magnolii. Są one dumą miasta — ich wspaniałe kwiaty przyciągają wzrok przechodniów. W ślad za Szczecinem poszła także Warszawa: mieszkańcy stolicy podziwiają codziennie kwitnące magnolie w Ogrodzie Botanicznym i w parkach Mokotowa. ...Piękna tegoroczna wiosna wystąpiła już w pełnym „galowym stroju”...

Fot. Cieślak — Szczecin

MARIAN BRANDYS

DOZNANIA LUDZKIE

Przed dwoma laty uzyskała Państwową Nagrodę Artystyczną powieść pisarza Bogdana Hamery pt. „Na przykład Plewa”.

Książka ta miała duży rozgłos. Cechował ją mocny trzon ideologiczny, była świeża i wyjęta wprost z życia. Jednocześnie krytyka literacka słusznie zwróciła uwagę na poważne niedociągnięcia artystyczne. Ponieważ autor jej był pisarzem z nowych kadr, człowiekiem proletariackiego pochodzenia, który rósł z Polską Ludową jeszcze od jej załazków partyzanckich — krytycy otoczyli go specjalną opieką i powtarzali na wszystkie tony: Hamera musi nad sobą pracować, pracować i jeszcze raz pracować.

I Hamera wziął się do pracy nad sobą. Powszechnie znany rezultat tej pracy to scenariusz filmu „Pierwsze dni”, oparty na powieści „Na przykład Plewa”. Każdy, kto widział „Pierwsze dni”, przyzna, że to jest bardzo dobry film. Hamera oczyścił swą powieść z piasku zbędnych słów, wzmacniając przez to jej konstrukcję i podkreślając głębię jej życiowej prawdy. Ale tak się stało, że dla szerokich rzesz czytelników, a nawet dla większości krytyków Bogdan Hamera pozostaje do dzisiaj autorem tylko jednej książki.

A tymczasem, przed kilku miesiącami Hamera wydał drugą książkę — zbiór nowel pt. „Doznania ludzkie” (Książka i Wiedza, 1951) — która wobec hałasu, powstałego wokół „Plewy” przeszła niemal nie spostrzeżona.

Właśnie „Doznaniami ludzkimi” chcę poświęcić ten felieton, gdyż — choć na recenzenta jest to może wyznanie zbyt osobiste — muszę stwierdzić, że przeczytanie tej książki było dla mnie prawdziwym przeżyciem.

Tytuł „Doznania ludzkie” nie wprowadza w błąd. W sześciu nowelach swego zbioru (ogółem nowel jest siedem) Hamera daje czytelnikowi sześć uchwyców na gorąco doznań ludzkich. Ale nie są to doznania marginesowe, przypadkowe, w jakich kreśleniu lubowali się pisarze „psychologisci”. To doznania, z którymi na drodze swego życia człowiek spotyka się tylko raz jeden, które pozwalają mu w momencie błyskawicznego ośnienia zrozumieć świat i samego siebie, które kształtują jego charakter i wytyczają jego dalsze losy.

Przed Olkiem, bohaterem „Syzyfiady”, doznanie ludzkie odsłania w jednej krótkiej chwili całą istotę „pracy polonizacyjnej” na Ukrainie — i zmienia linię jego życia.

Bezimienna kobieta z „Zagadnienia chleba” — po rzuceniu w tłum głodnych jeńców radzieckich bochenka chleba, na który czekała jej dzieci, przeżywa niebywałe uniesienie. „Wydało jej się, że dokonała czegoś wielkiego, czegoś ponad miarę, że zadecydowała o losach świata...”

Przeciński ze „Spojrzenia na siebie” — po uratowaniu rannego czołgisty — pojmując jakim szczęściem i mocą obdarza człowieka przezwyciężenie w sobie lęku.

Niemiecki żołnierz Wiana z „Ponadludzkiego brzemienia” — nie mogąc unieść ciężaru otaczającej go nienawiści, podejmuje próbę rehabilitacji człowieka niemieckiego w oczach Polaków przez drobne akty ludzkiej dobroci.

Doktor z „Czystej chirurgii”, któremu Gestapo rozkazuje uzdrowić człowieka tylko po to, żeby móc go poddać torturom i wydusić z niego zeznania obciążające towarzyszy — po raz pierwszy w swej praktyce staje oko w oko z problemem, którego w płaszczyźnie czystej chirurgii rozwiązać się nie da.

W noweli „Drogi różnie się krzyżują” spotykają się dwaj ludzie: były partyzant — który w czasie wojny wysadził w powietrze niemiecki transport, dowożący amunicję na wschód, i polski konduktor, który prowadził ten pociąg i wskutek wybuchu utracił rękę. Takie są tematy sześciu nowel — śmiało, oryginalne, odnalezione w gąszczu życia po raz pierwszy.

I powiedzmy sobie od razu: z każdego z tych tematów — jednym fałszywym pociągnięciem pióra — można było zrobić krzykliwą szmیرę, bądź nudną dydaktyczną piłę.

Hamera uniknął fałszywych pociągnięć. Jego nowele są zwarte, pełne, nabrzmiałe sokami — jak dojrzale owoce.

Przy pierwszym czytaniu książka Hamery tak pochłania czytelnika, że pozostawia wrażenie pełnej harmonii artystycznej, nie skażonej żadnymi błędami. Przy drugim czytaniu dostrzega się pewne niedociągnięcia. Siódma nowela, „Na styku”, wypada z ogólnej atmosfery zbioru — mimo że sama w sobie stanowi doskonałe opowiadanie dla młodzieży, przypominające niektóre utwory Arkadego Gajdara. Rozwiązanie konfliktu doktora z „Czystej chirurgii” przedstawił autor w zbyt lapidarnym skrócie i wskutek tego nowela sprawia wrażenie nieskończonej. Wewnętrzny monolog Wiana w przedostatnim rozdziale „Ponadludzkiego brzemienia” wydaje mi się niepotrzebnym komentarzem, który osłabia siłę utworu.

Ale czymże jest to wszystko wobec faktu, że każdemu doznaniu ludzkiemu bohaterów tych nowel — odpowiada równie głębokie doznanie ludzkie ich czytelników.

W BEDFORD-ROW

RYSUNKI JERZEGO ZARUBY

JAN LAM / wg. W.M. Thackeraya /

Oto niezwykle spotkanie: opowiadanie jednego z największych satyryków angielskich w tłumaczeniu jednego z największych satyryków polskich. Jan Lam (1838—1886) nie bez powodu sięgnął do jednej z nowel Thackeraya. Wielki krytyk społeczeństwa burżuazyjnego Anglii, Thackeray, był w wielu wypadkach wzorem i przykładem dla Lama w jego atakach na mieszczaństwo galicyjskie okresu popowstańcowego, a zwłaszcza na jego stańczykowski, magnacko-burżuazyjnych polityków. Lam nie wierzył w udaną walkę między dwoma odłamami magnacko-burżuazyjnymi, w rzekomą walkę „demokra-

tów” z konserwatystami. Całą swą działalność felietonową i powieściopisarską poświęcił temu samemu, o czym pisze Thackeray w swym „Spisku na Bedford Row”. Nowelka Anglika musiała bardzo spodobać się Lamowi, jeśli specjalnie ją opracował, nie powstrzymując się przed dodaniem aktualnych dla Galicji aluzji. W utworze Thackeraya, spolszczonym przez Lama, który dziś przypominamy, znajdziemy Czytelnik wiele aktualnego materiału obrazującego jakby dzisiejszą walkę stronnictw burżuazyjnych w państwach Europy zachodniej, a także i w St. Zjednoczonych.

Rozdział I.

(O romansie p. Perkinsa z panną Gorgon i o dwóch nieprzyjaznych sobie stronnictwach w Oldborough).

— Drogi Jańciu — zawołała Łucusia z miną niezmiernie roztropną — tak być musi, jak ja mówię. Powiadam ci najpierw, że nie stać nas na mieszkanie przy ulicy Doughty Street, gdzie mieszka arystokracja. Musielibyśmy tam trzymać troje sług, a ciotka Biggs mówi, że podatki same wynoszą 23 funty. Musimy wynaleźć co innego, ale to ci powiadam, że będziemy mieszkali w mieście!

— Widziałem właśnie przecudny domek w Chelsea — zauważył Jańcio. — Ulica Paradise - Row, nr 17. Ogródek, ogród warzywny — pięćdziesiąt funtów rocznego czynszu, i omnibus idący do miasta staje tylko o milę stamtąd!

— Co, ja miałabym cały dzień siedzieć sama w domu, podczas gdy ty musiałbyś się rujnować na dorożki? Mój drogi Jańciu... toż bym ja tam umarła ze strachu! Ja... ja bym się bała... ale bałabym się o ciebie!... Wszak przyznasz, że ulice w tej stronie są bardzo źle oświetlone i że włości się nimi mnóstwo podejrzanych ludzi... Pełno po drodze szynków... i pijanych murarzy irlandzkich! Chciałabyś, abym zginęła z trwogi, drogi, kochany Jańciu!

— Mo-o-ja kochana! — rzekł Jańcio, i w tej samej chwili nadmiar uczucia zmusił go objąć ramionami kształną kibić Łucusi i przycisnąć jej dłoń do swojej kamizelki, tj. do tej części ubrania męskiego, którą panie podejrzewają częstokroć o to, iż zakrywa ona przed ich pięknymi oczkami nasze wielkie serca. — Moja kochana! Nie mów mi takich rzeczy! Nie mów mi ich nawet żartem! Jeżeli nie chciałem nająć apartamentu w kamienicy miejskiej, zajętej przez różnych lokatorów, którzy by wraz z nami tam przemieszkowali, to powodowałem się względem na twoje, kochana Łucusiu, urodzenie, na twoje związki rodzinne, na to, jednym słowem, że pochodzisz z rodu baronetów Gorgon. Tyś powinna mieć dom sama dla siebie. Dla mnie mieszkanie w czynszowej kamienicy byłoby wcale wystarczające, ale dla ciebie, dla ciebie!

Rozmowa ta, jak wszystkie rozmowy tego rodzaju, skończyła się w ten sposób, że uchwalono, czego chciała Łucusia. Zaraz po ślubie, Jańcio i ona zająć mieli mieszkanie w jego własnej kamienicy, zamieszkałej przez różnych lokatorów, przy ulicy Bedford - Row, położonej w śródmieściu Londynu, gdzie potrzeba być kilkakrotnie milionerem, ażeby mieć to, czego Anglik przede wszystkim pragnie, tj. „dom cały dla siebie”.

Teraz muszę wyjaśnić szanownemu czytelnikowi, kto był Jańcio. Był to Master John Perkins, Esquire, prawnik, należący do korporacji Middle - Temple, a tym samym człowiek, mający przed sobą karierę wiodącą do najwyższych posad sędziowskich w Zjednoczonym Królestwie (pod warunkiem, by przed osiągnięciem tych zaszczytów kandydat nie umarł z głodu). Łucusia zaś była córką s. p. kapitana Gorgona i Marianny z Biggsów, jego małżonki. S. p. kapitan był wielkim familiantem, jako młodszy syn baroneta, kuzynem lorda Iksford, pochodzącego z rodziny Ipsilontown, ale cała ta parantela pogniwała się na niego z powodu, iż pojął w małżeństwo młodszą, piękną, ale nie jasnie wielmożnie urodzoną panienkę, która utrzymywała pensjonat w Canterbury. Posiadała ona 600 funtów (= 7000 guldenów—przyp. tłum.) majątku, który to kapitał s. p. kapitan ulokował niezbyt korzystnie, nabywając zań karętkę podrobną i podróży nécessaire dla siebie, z brzytwami, szczoteczками, mydełkami itd. — po czym oboje wyjechali w podróż po Europie, w której to, jednej z pięciu części świata, s. p. kapitan zwiędział przede wszystkim rozmaite więzienia za długi, póki na koniec w jednym z nich nie umarł. Przez cały ten czas żona jego i córka żyły z funduszów, dostarczanych im przez pannę Janinę Biggs, która po wyjściu

za mąż siostry, objęła pensjonat w Canterbury i pracowała, jak tylko taka kobieta urodzona na „ciotkę” pracować potrafi.

Na szczęście, nieszczęście chciało, że umarła jakaś jeszcze starsza ciotka i zostawiła obydwu siostrą, tj. kapitanowej i pannie Janinie, siedem tysięcy funtów w walucie znanej jako sterling i ponad którą lepszej dotychczas nie wynaleziono. Panna Janina porzuciła wówczas swój pensjonat i zamieszkała na przedmieściu w Londynie, wdowa zaś po kapitanie osiadła



w Brukseli, gdzie żyła jak mogła z połowy procentu, wynoszącego razem 210 f. st. Połowa ta czyniła w Belgii przeszło 3000 franków, ale kapitanowa byłaby dała radę nie tylko procentom, lecz i kapitałowi także, gdyby owa starsza ciotka, umierając, za poradą dobrego adwokata nie była napisała testamentu w ten sposób, że po śmierci mamy, Łucusia została właścicielką schedy nadwyreżonej wymogami eleganckiego i wykwintnego życia. Kto umie arytmetykę, to tym samym wie, że Łucusia w młodzieństwie bardzo wieku została naraz jedyną właścicielką sumy, którą nie łatwo znaleźć na ulicy nawet w City londyńskiej.

Ciotka jej po ojcu, a raczej wujenka, lady Gorgon, i ciotka jej po matce, panna Janina Biggs, ex-naucycielka, zapraszały ją obie do siebie, i Łucusia przebywała po pół roku u jednej i u drugiej. Obecnie przybyła po raz wtóry do panny Biggs, przy placu Carolina Meklemburgh Square, i w mieszkaniu tej niezmiernie pocziwej i szanownej, jakkolwiek sędziwej już dziewczycy, Master John Perkins, Esquire, znalazłszy się raz na herbacie, po rozmaitych westchnieniach, rumieńcach, wymianach kwiatów, podnoszeniu chustek od nosa i innych niedogodnościach romantycznych, zdobył serce panny Łucji Gorgon...

Tyle co do panny.

Perkins także, sierota, był sierotą! I nieraz, kiedy byli razem z Łucją i kiedy Febus Apollo ostatnimi blaskami swymi złościł minaret, trywialnie zwany „cybuchem królowej” dlatego, iż przezeń wychodził dym skonfiskowanych, bo przemyconych i spalonych wskutek tego skrzyń tytoniu, i kiedy wszystkie inne dymy

i mgły londyńskie szarym murem ścieliły się po gaznach z natury już swojej równie szarych, jak one — nieraz, powiadam, w takiej poetycznej chwili, Jańcio i Łucusia zastanawiali się, jaką też dziwną analogię los między losami ich stworzył. Oboje byli sierotami, bez ojca i matki. Oboje nie mieli rodzeństwa. Perkins miał lat 23, a Łucusia także, co razem wynosiło 46 — a co dziwniejsze, że podczas kiedy Łucusia z bliższych krewnych posiadała tylko ciotki, to Jańcio znowu miał samych tylko wujaszków. O, nieodgadniona, niepojęta sympatio dusz stworzonych jedna dla drugiej! O, tajemniczy węzeł, jednoczący serca! Wspominam o was z mistyczną grozą, i jeżeli znam niedocieczone wasze głębie, to ich przenigdy na jaw wywlekać nie myślę! Mam zamiar mówić tylko o skonstatowanych faktach.

Skonstatowanym faktem jest, że Jańcio i Łucusia poszaleli oboje, tak jak powinny poszaleć w ich wieku i położeniu młode serca, jeżeli są warte bodaj trzy grosze. Łatwo im też było wynajdywać sobie podobieństwa sytuacji, wspólne, a nie odkryte przedtem prądy uczucia, tajnie duszy, ni stąd ni zowąd łączące się w jedną myśl niezmiernie wyraźną i jasną — kochali się i byli bardzo młodzi! Perkins tłumaczył to zresztą topograficznie niewielką odległością ulicy Bedford-Row, przy której mieszkał, od Caroline Place, Meklemburgh Square. W bólach, nieoddzielnych od każdej prawdziwej miłości, czerpał on, jak twierdził, niewymowną pociechę z przeświadczenia, iż jedna i ta sama „śmietanczarka” dostarcza nabiątu i Łucusi wraz z ciotką i jemu wraz z wujaszkiem jego.

Mamże ja, stary, pisać dłuższe komentarze do tego zazdrości godnego stosunku? Zapewniam jedynie, iż nie było nigdy pocziwszego, bardziej prostodusznego, serdeczniejszego, łagodniejszego, zabawniejszego przy tym i tęszącego chłopaka niż John Perkins. Ojciec jego, dr. Perkins, umierając porucił go opiece p. John Esquire, brata swojego, a członka prezacnej firmy „Perkins, Scully and Perkins”, tak znanej w Oldborough, że dłużej o wielkości jej i zaletach rozpisywać się nie potrzebuje. Wspomnę tylko, że jeden z jej firmodawców, Master Wiliam Scully, Esquire, reprezentował ją w angielskiej Izbie Gmin wobec Londynu, świata i reszty systemu słonecznego. Zresztą, firma trudniła się adwokatą na prowincji i z tego zajęcia czerpała znaczne swoje intraty.

Jańcia naszego całym majątkiem był dom w Londynie przy ulicy Bedford-Row, który po śmierci ojca jego wynajęty został na „chambers”, tj. na pojedyncze mieszkanie, i przynosił sto funtów czystego przychodu. Póki zastawał u stryja w Oldborough — to jest Jańcio, nie dom — wraz z rodzeństwem stryjecznym, liczącym czternaście głów rozpaczliwie czerwono włosów — liczono tylko po 50 funtów rocznie za jego wikt, stancję, suknie i pieniądze dawane mu „na rekreację”; resztę zaś przychodu kapitalizowano sumieniem, póki nie doszedł do pełnoletności. Kiedy już Jańcio stanął na tym prawnym szczeblu obywatelskiej dojrzałości i samodzielności, czyli innymi słowy, kiedy już był członkiem dwóch deklamacyjnych klubów w Oldborough, złożonych z młodzieży kupieckiej i adwokackiej, kiedy zaczął grywać na flecie i przegrywać codziennie po parę pence w bilard, kiedy napisał sonet i szaradę, drukowane w Oldborough Sentinel, kiedy na koniec, wujenka jego dostała spazmów, odkrywając niewyjaśnionym dotychczas sposobem o trzeciej godzinie rano, iż synowiec oddaje się nałogowi kurzenia tytoniu — jednym słowem, kiedy Master John Perkins stanął zupełnie na przeciętnej wysokości wolnourodzonego „Syna Wyspy, Królującej Morzom i Dalekim Łądom” (i borykającej się z akcyzą) — odkrył on, że zawód adwokata na prowincji nie odpowiada ani trochę jego „usposobieniu, że rodzina jego wuja, w istocie nieco pospolita i bardzo ruda, nie zdoła zapełnić mu życia, i wskutek tego postanowił przesiedlić się do Londynu i szukać tam kariery. Tak się też stało, jakkolwiek wszystkie ciemnorude wujenki i jasnosnórde kuzynki wołały wniebogłosy, że Jańcio to jest chłopak zgubiony — i w chwili, gdy rozpoczynam moje opowiadanie, bohater ten mieszkał na własnym swoim poddaszu, którego okna wychodziły na ogród. Łucusia zaś, dowiedziawszy się, iż niezadługo opróżniony będzie w kamienicy Jańcia apartament złożony z kilku wcale ładnych pokojów, zwiędziała go, i jak słyszeliśmy, uchwaliła peremptorycznie, że tam, a nie gdzie indziej, rozpocznie swoje funkcje jako pani Perkins, skoro nią zostanie.

Szczegóły te są niezawodnie nudne i opowiadam je rozwlekłe, ale są one niezbędne do zrozumienia tego, co nastąpi. Nadto muszę jeszcze dodać, że p. Scully, wspólnik stryja Jańciowego, był opozycyjnym deputowanym miasta Oldborough do Izby Gmin, podczas gdy stryj Łucusi był drugim, ale ministerialnym reprezentantem tegoż przesławnego grodu.

Znakomity ten mąż, starszy brat s. p. kapitana Gorgon, ojca Łucusi, zamieszkiwał odwieczny familijny dwór Gorgon Castle i znany był na wielu placach musztry i na mnogich paradach jako generał-major, w kalendarzu heraldycznym zaś jako Sir George Grimsby Gorgon, Baronet, M. P. (co bynajmniej nie znaczy: „manu propria”, ale „member of parliament”, tj. członek parlamentu). Ożenił się był zresztą, również jak s. p. kapitan, poniżej swego stanu, z jedynaczką, córką niejakiego Master Hicks, ogromnie bogatego piwowara w Oldborough, który oprócz swego browaru posiadał kapitały hipoteczne ubezpieczone na rycerskiej posiadłości Gorgon Castle, a rzekł się ich na rzecz córki i ukochanego, a świetnie utytułowanego zięcia.

Czym była Lady Gorgon! pod względem psycholo-

1) Żonom baronetów i kawalerów (knights) należy się tytuł: lady, również jak żonom parów i córkom książąt, margrabiów i hrabiów. (Przyp. tłum.)

gicznym, to się pokaże z niniejszego opowiadania. Pod względem czysto fizycznym, oko poety mogłoby być odkryć wiele punktów podobieństwa między nią a roslimi, garbosymi, szerokobokimi kobyłami, które rozwoziły piwo tatunia dobrodzieja po całej okolicy. W dwudziestym roku życia była to okazała, przystojna bardzo, ale herkulicznie zbudowana panna, w czterdziestym piątym rozwinęła się już była nad wszelki wyraz, i co do potężnej postaci mogła szukać równej sobie osoby pomiędzy 150 z górą milionami niewiast, podległych łagodnemu berłu Najjaśniejszej królowej Wiktorii. Pięć stóp i siedem cali wzrostu, 13 kamieni wagi (kamień = 14 funtów), jednym słowem, nie córka pulku, ale raczej „matka pulku grenadierów”. Przy tym posiadała jeszcze trzy córki, tej samej co ona miary, i młodszego o dziesięć lat od najmłodszego z panien syna, Jerzego Augusta Fryderyka Grimsby-Gorgon, któregotrzymał do chrztu jeden z książąt krwi, zważywszy zasługi, jakie jenerał Sir George Grimsby-Gorgon przez długie lata zaszkarbił sobie w jego przedpokoju, w królewskiej psiarni i stajni.

Zbytecznym byłoby dodawać do tego opisu postaci Lady Gorgon, że jej mąż, pan jenerał, był chudziutkim, szczupłutkim, króciutkim indywiduum o pergaminowej fizjonomii, przypominającej łupinę dobrze wysuszonego orzecha włoskiego. Tak zawsze miłość łączy pary ludzkie: olbrzymy z karłami — a co gorsza, spaja je ona raz na zawsze węzłem małżeńskim! Kiedy pokojowiec na przyjęciu dworskim w St. James anonsował donośnym głosem: „Sir George and Lady Gorgon”, oczy całego towarzystwa zwrócone w stronę drzwi, widziały tylko kilkanaście piętér jaskrawoczerwonego atlasu, ponad którymi, a kształt obłoków, unosiły się przepyszne pióra strusie, a obok tego ogromu jedwabów i mięsa dreptało coś rakowoczerwonego, świecącego guzikami o koronie królewskiej, jak żrebiełko rosłej klaczy. Był to jenerał Gorgon, owiany spódnicami swojej połowicy, a raczej trzydziwertycy.

Znakomity ten wojownik odbył sto dwadzieścia ćwiczeń i manewrów na błoniach pod Hounslow i w zaroślach pod Wormwood, ale w ciągu tej długoletniej kariery bohaterskiej nie zdarzyło mu się nigdy dobyć szabli przeciw nieprzyjaciółowi kraju i państwa. Ma się rozumieć, że wskutek tego wszystkiego postawa jego była nadmiernie marsowa, a głos i rozmowa szły o lepsze z furiami germańskiej krwiożerczości, z walkirią i ich orkiestrowym akompaniamentem, według partycji i kompozycji Wagnera, Liszta, Kruppa i Armstronga. Umiał on na pamięć cały schematyzm armii, od feldmarszałka do majora — resztą oficerów gardził bezwarunkowo. W Gorgon Castle, zamiast dzwonka, trąbka wojskowa wzywała gości do śniadania i do obiadu, a o wschodzie słońca wypalano z dział. Kiedy już od wielu lat zaniechano w wojsku pudru i harbajtla, Sir George używał jeszcze ciągle tej ozdoby i nie wierzył ani w Wellingtona, ani w zwycięskie kolumny z wojny hiszpańskiej i spod Waterloo, bo „zełazny książę” ośmielił się bić Francuzów bez tego pierwszego warunku wszelkiej strategii i taktyki, bez żelazka fryzjerskiego. Mówiąc o księżu, zwykł był wyrażać się: „A, lord Wellington! Znałem go, znałem... prowadził prawoskrzydłowy pluton... przypominam go sobie doskonale, kapitana Wellesley’a!” W rozmowie potocznej kłął jak dorożkarz, do kościoła uczęszczał bardzo pilnie, rano i wieczór odczytywał rodzinie i służbie modlitwy i ustępy z Biblii, nabierał z góry swoje córki i udawał, że nabiera tak samo i żonę, ale wierzyli temu tylko ludzie niewtajemniczeni w bliższe stosunki. Prócz tego Sir George dawał u siebie w domu obiady i wieczory, na które nigdy nie zapraszał „przyjaciół” — trzymał mnóstwo liberii, morzonej głodem, i był jednym słowem najgłupszą, najpompatyczniejszą figurą, jaką sobie wyobrazić można w czerwonym mundurze ze złotymi haftami i w kapeluszu z białym pierzem.

Nikt nie będzie mógł wątpić, iż wszystkie te przymioty czyniły go niezmiernie popularnym w jego towarzystwie i w całym kraju. Był on nie tylko popularny i lubiany — był ubóstwiany; od tego jest przecież „towarzystwo” angielskie i od tego mamy naród „Królujący Morzom i Dalekim Łądom” (i borykający się z akcyzą) et caetera. Na całej kuli ziemskiej nie było człowieka, któremu by droga żywota przedstawiała tak mało cierni; który by miał mniej wyrzutów sumienia; na którego by spadało więcej zaszczytów i uznania ogólnego; którego by powszechniej szanowano i szacowano; nie było męża jak jenerał-major Sir George Grimsby-Gorgon, M. P.

Mylady wdała się w niego moralnie i podziwiała się oni nawzajem niezmiernie. Nie Lady Gorgon atoli wyszła za mąż za baroneta, zaszyły były jakieś sielankowe miłostki między nią a p. Wiliame Pitt Scully, Esquire, o którym już wspomnieliśmy jako o M. P. i członku firmy Perkins, Scully and Perkins. Były o tym różne historie, a szczególnie jedna historia, o jakichś tam konfliktach, czy tortach, z której można by było wnosić, iż rzeczy zaszyły bardzo daleko. Nie chcąc robić plotek, ale mówiono coś, a raczej cmokano coś — podobnego do całusów. Bądź co bądź, skoro jenerał — a wówczas dopiero major, ale już baronet — raczył zwrócić się w jej stronę, pięcioletnia mitrega romantyczna p. Scully wzięła w łeb od razu. Przestała go znać, przestała poznawać na ulicy jego siostrę Salusię, najserdeczniejszą przyjaciółkę i powiernicę swoją, i po czternastodniowych konkurach oddała cały ogrom swoich wdzięków malutkiemu oficerowi. Ojciec jej umarł wkrótce, hipoteka posiadłości Gorgon Castle znalazła się wolną, a jenerał miał tym samym do swojej dyspozycji dwa krzesła poselskie z Oldborough, z których jedno zajmował sam, a drugie rozdawał według upodobania.

Ponieważ wówczas torysowie byli u steru, więc jenerał był torysem — wskutek czego W. Scully, Esquire, odstąpił od zasad konserwatywnych. w których urodził się, ochrzcił i wyrósł, a nawet przestał uczęszczać do urzędowego kościoła, gdzie raził go zbyt mocno widok jenerała i jego zony rozpięających się w kolatorskiej ławce. W. Scully, Esquire, przystał wtedy do zboru dysydenckiego i stał się jednym z najpotężniejszych filarów wolności, niepodległości i niezawisłości zdania, jakie znano w naszych czasach.

Dzięki tej okoliczności, Sir George po pięciu latach małżeństwa przekonał się, iż na utrzymanie się przy obydwu krzesłach poselskich z Oldborough potrzeba dopłacać 700 f. st. rocznie. W szóstym roku, kandydat liberalny stanął przeciwko jego kandydatowi i przycisnął go prawie do muru. Po osiemnastu zaś latach tego antagonizmu, W. Scully, Esquire, wzgardzo-



ny niegdyś konkurent do ręki lady Gorgon, wyszedł z urny wyborczej większą ilością głosów niż sam baronet. Jedno z krzesel poselskich stracone było dla rodu Gorgonów, dla świetnych interesów państwa, chrześcijaństwa i Europy, dla zasad konserwatywnych i dla tych wszystkich rzeczy, które... (proszę przeczytać resztę w jakimś czasopiśmie ministerialnym).

Trudno sobie wyobrazić, co się działo tego dnia w Gorgon Castle. Zaden słownik nie zawiera przekleństw, jakie wygłosił p. jenerał, gdy mu tak sprzed nosa zniknęła posada, przynosząca mu 1.500 funtów rocznie. Mylady była pełna rezygnacji i szukała pociechy w modlitwie, zgrzytając zębami. W zajeździe „Pod herbem Gorgonów”, w Oldborough, wybito wszystkie okna (zajazd ten ma się rozumieć, był własnością jenerała i oberżysta był torysem). Burmistrz, z urzędu swego gorgończyk i torys, koleżył jego aldermenowie, nie śmieli oczu na świat pokazać. A ciężki ten wróg i renegat, W. Scully, nazajutrz przeprosił się z urzędowym kościołem, i kiedy ks. Snorter wygłaszał uroczystym głosem błagalne modły o błogosławieństwo Niebios dla obu Izb parlamentu, dziękował mu oficjalnie jednym okiem, a drugim spoglądał tryumfując ku ławie kolatorskiej — przebrzydły kaczer, radykał, prostak, kryminalista. Jenerał — który jako człek wojskowy, modlił się zawsze stojąc, aż usiadł z oburzeniem, a mylady rozszlochała się w głos jak pauper pod łagodną różdżką sługi parafialnego.

Od czasu tego zwycięstwa, Mr. Scully chodził zawsze do urzędowego kościoła, twierdząc, iż koniec końców, „wszyscy jesteście braćmi”. Wspólnik jego, stary Perkins, trzymał atoli jeszcze ciągle z dysydentami i z ich zborom. W gruncie rzecz miała się tak: firma odbyła walną naradę. Mówiono wiele pro i contra i stanęło na tym, że dobrze jest nie zrywać ani z religią państwową, ani też nie narażać się innowiercom, jeden więc reprezentant domu niech będzie episkopalnym, a drugi nonkonformistą. Ile znałem firm adwokackich w prawdziwie angielskim prowincjonalnym mieście, wszystkie trzymały się tej taktyki, a mówiono mi, że są domy książęce, gdzie ojciec i syn w podobny sposób dzielą się obowiązkiem jednania sobie serc narodu.

W trzy miesiące po wyborach odbyły się w Oldborough wyścigi konne, połączone z balem. Sir George tak był rozgniewany swoją porażką, że przeznaczył 15 funtów na osobną nagrodę wyścigową, noszącą jego imię. Scully nie ruszył się nawet z Londynu; napisał list tej treści, że „jakkolwiek w wysokim stopniu uznaje potrzebę utrzymania chowu koni, z którego Anglia zawsze słynęła, to nie może brać udziału w zabawkach, wyrażających się w namietność szkodliwa i występna”. Uchwalono, że była to nędzna wymówka i nic więcej. Lady Gorgon wyglądała imponująco w czterokonnym koczku, z którego przypatrywała się wyścigom. Przyjęła ona chętnie obowiązek gospodyni balu, który zgromadzał w jednej sali właścicieli dóbr

i mieszczan, torysów i wigów, i odbywał się ostatniego dnia wyścigów. Tegoż dnia na wszystkich rogach ulic itp. pojawił się w formie plakatu następujący „List znakomitego naszego posła Wiliama P. Scully, Esq. itd.”:

Izba Gmin, w środę 9 czerwca 18...

„Kochany Panie Heeltap! Znasz pan moje zdanie o wyścigach konnych, i jakkolwiek nie ganię nikomu z was jego udziału w tej zabawie, to mam nadzieję, że oocenie w sposób słuszny moralne pobudki, które mnie od tego wstrzymują. Chociaż atoli ja nie pozwoliłbym, aby moje nazwisko figurowało na liście komitetu areny, to zawsze jeszcze jeden z reprezentantów miasta Oldborough wolnym jest od tych skrupułów. Sir George Gorgon jest pomiędzy wami, i jakkolwiek nie zgadzam się z szanownym baronetem w niejednej żywotnej kwestii, cieszę się z tego, iż nie pozbawił was swojej obecności. Jako szlachcic, jako żołnierz i jako właściciel ziemi, czymże może on przyczynić się lepiej do dobra ogółu, niż popieraniem rozrywek publicznych?”

„Gdybym zresztą nawet nie miał skrupułów, o których mówię, nie mógłbym w tej chwili opuścić stolicy. Ważny bill, dotyczący drenowania gruntów i naprawy parkanów w Oldborough, stoi dziś na porządku dziennym w Izbie, i możesz pan być pewnym, że będę na moim posterunku. Nie wątpię, że Sir George, gdyby był tutaj, głosowałby w tym wypadku razem ze mną, i że wszelkie względy partyjne umiknęłyby wobec drogiej nam interesów kochanego naszego miasta rodzinnego.”

„Zbliża się atoli inna sposobność, przy której dumny będę podać mu rękę. Dajecie bal 16 bm. Zapomnienie sporów między stronnictwami — niewinna wesołość — widok piękności, naszych piękności — widok naszych córek rozkwitających jak róże, naszych matron uszczęśliwionych wesołością i wdziękami swoich dzieci — oto scena, dla której żaden Anglik nie może być obojętnym i od której z dala pozostać byłoby niepodobieństwem. Co się mnie tyczy, przybędę niewątpliwie, i mam zaszczyt angażować niniejszym wszystkim panny z partii torysów, które by jeszcze nie miały partnera”.

„Wiesz pan, że opływam tutaj w różne dobre rzeczy i że nam, ludziom starego autoramentu, po balu kolacyjka szczególnie jest pożądana. Bądźcie łaskawi przyjąć tych parę kozłów i zółwia na zupe, które dołączam. Szanowny mój kolega, który tej zimy tak hojnie zaopatrywał ubogich swoją zupe, nie odmówi może łyzki tej, którą posyłam z chętnego serca. A więc do widzenia dn. 16 bm i „vive la joie!” Jestem, kochany p. Heeltap, zawsze pańskim sługą

W. Pitt Scully

P. S. Ma się rozumieć, że list ten jest ściśle poufny. Powiedz pan, że zwierzyne itd. nadesłał ktoś „życzliwy naszemu miastu”.

Wbrew temu poleceniu, p. Heeltap, jak widzimy, ogłosił pismo swojego przyjaciela drukiem, wraz z przedmową, w której nadmieniał, że nie widzi przychylnego robienia sekretu z pięknego postępką p. Scully.

Wzmianka w liście o rumfordzkiej zupe Gorgonów była po prostu morderczą, zapewniano bowiem, że kilkunastu ubogich w Oldborough umarło wskutek jej spożycia. Mylady oniemiała z gniewu po przeczytaniu epistoły p. Scully, a Sir George nie posiadał się ze złości, zwłaszcza gdy dla zrównoważenia zwierzyny i zółwia, zmuszony był posłać dziesięć tuzinów butelek szampana do hotelu „Pod herbem Gorgonów”, gdzie bal miał się odbyć. Byłby chętnie został w domu tego wieczora, ale nie śmiał.

O dziewiątej godzinie tedy, Sir George w mundurze jeneralskim, milady w błękitnym atlasie i w brylantach, panna Lucja Gorgon w muślinowej sukni i młody pan Gorgon w błękitnej aksamitnej kurtce, weszli przez północne drzwi od sali, przy dźwiękach hymnu „Gode save the queen” i wśród okrzyków zgromadzonego tłumu.

W tej samej chwili, przez drzwi od południa wszedł Wiliam Pitt Scully, Esq. M. P. wraz ze swoim sztabem. Miał on na sobie granatowy frak z złotymi guzikami, kamizelkę szamua, białe kaźmirkowe pantalone, trzewiki z wielkimi kokardami i różowe, jedwabne skarpetki.

— Ta welna — rzekł do jednego ze swoich przyjaciół, wskazując swoje ubranie, wyrosła na grzbietach owiec z Oldborough. To sukno utkane zostało na warsztatach w Oldborough. Te trzewiki robił szewc z Oldborough. To serce zaczęło bić w Oldborough, i da Bóg, w Oldborough spocznie w grobie!

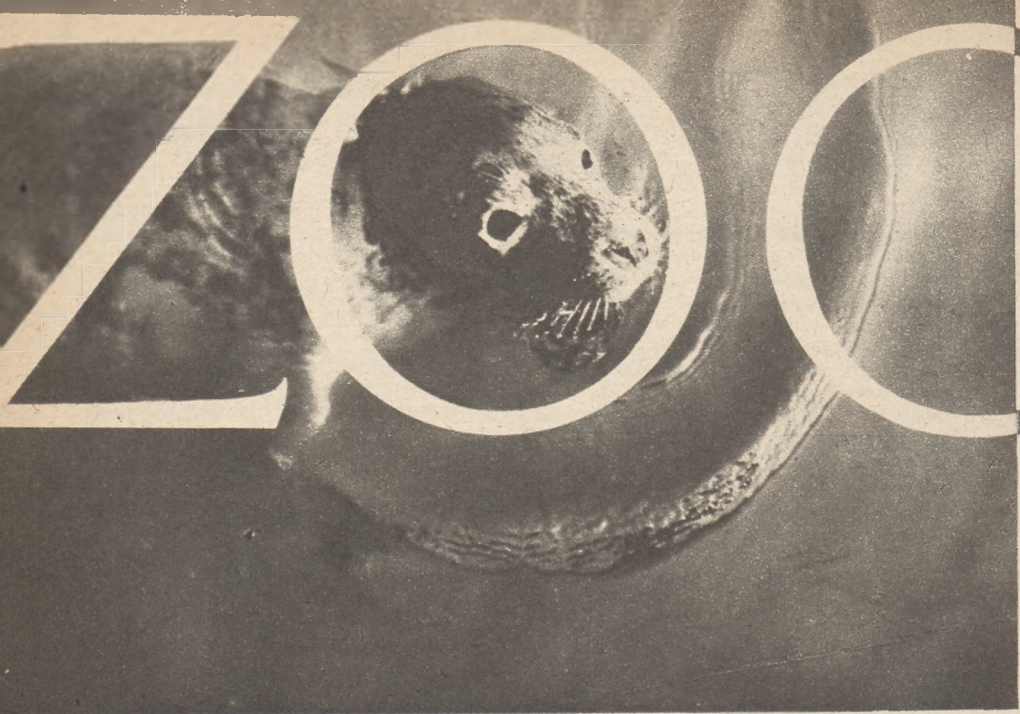
Czy podobna byłoby oprzeć się takim słowom? John Perkins, który przebył wraz z p. Sculym z Londynu jako jego adiutant, w przystępie entuzjazmu wskoczył na stolik do kart, powiewając chustką od nosa i krzycząc na całe gardło: Niech żyje Scully!

Heeltap znajdujący się w stanie chronicznej niecierpliwości, rozplakał się od razu, a poważni kupcy i właściciele ziemi należący do partii wigów, którzy wracali właśnie z obiadem spożytego wspólnie z p. Scully w wigowskim zajeździe, rozpuścili swoje basowe głosy i wołali: Słuchajcie! Dobrze mówi! Brawo! Niech żyje Scully! Hurra!

Była to scena gwarliwa nieco, ale rozrzucająca, a kiedy młody Perkins zlał na koniec ze stołu i zarumieniony zbliżył się do szanownego deputowanego, a ten ostatni chwycił go za rękę i rzekł:

— Dziękuję ci, Janie. Serdecznie ci dziękuję! — Perkins myślał, że wychylił już do dna czarę rozkoszy tego żywota i że nie zostaje mu nic, jak chyba umrzeć. Scully był jego Napoleonem, i pocziwy chłopak oddany mu był duszą i ciałem.

Balszy ciąg nastąpi



Dlaczego w basenie jest tak mało wody? — pyta zwiedzających foka. — W morzu było jej o wiele więcej, ale i w ZOO nie czuję się źle. Boję się tylko chuliganów.

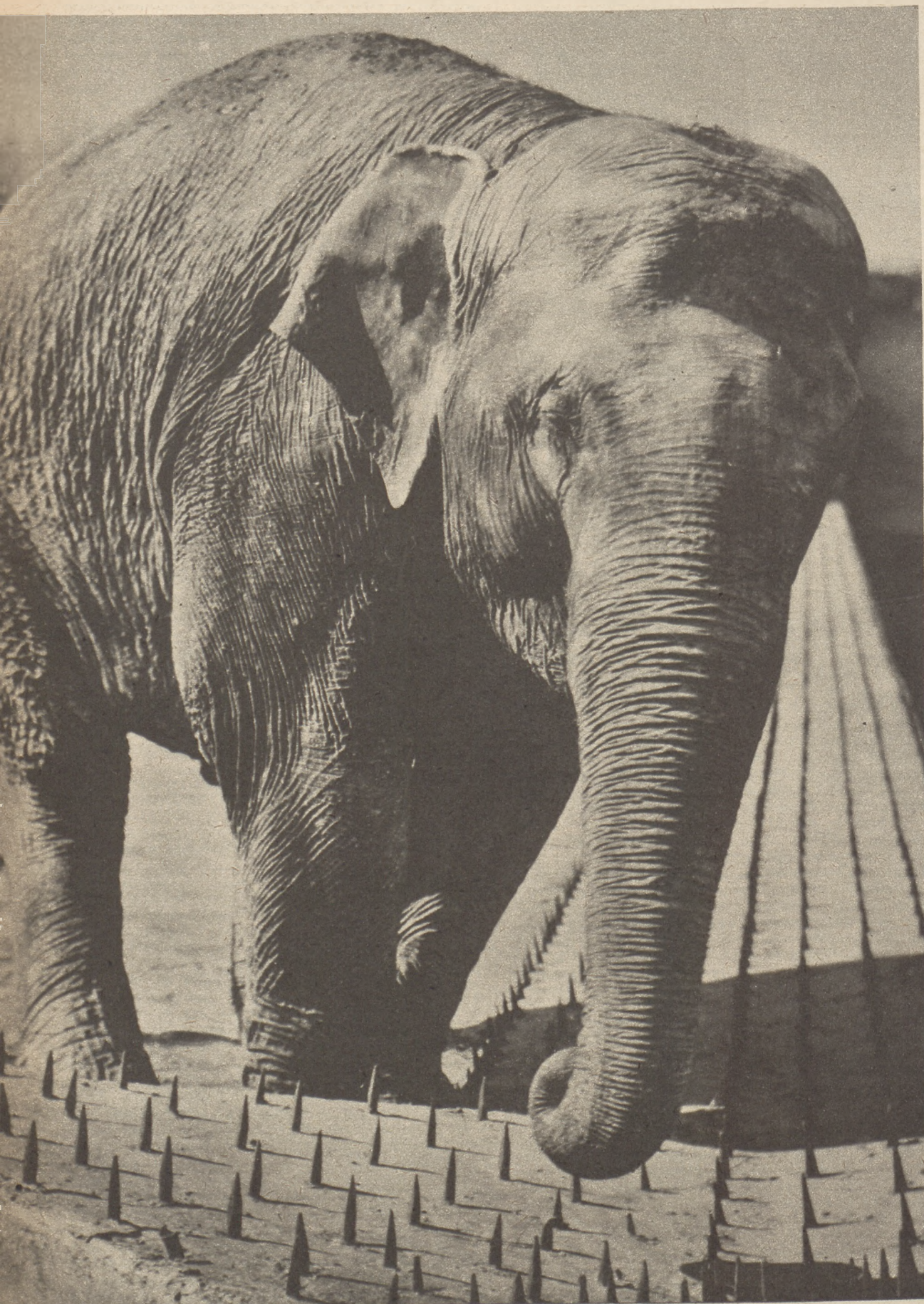
KAŻDEGO roku wiosna przynosi mieszkańcom Warszawy tę jedyną w swoim rodzaju, tak dobrze znaną, a przecież zawsze nową atrakcję — budzi się ze „snu zimowego” ogród zoologiczny... Wystarczy tam spędzić kilka niedzielnych godzin, żeby powrócić do domu z tysiącami historii o życiu i obyczajach zwierząt — gości z różnych kontynentów, z oceanów i gór, z różnorodnych stref klimatycznych. Zawsze imponujące lwy, zawsze zabawne małpy, majestatyczne niedźwiedzie, dziwaczne ptaki, osobliwy kameleon — wszystko to mieszka obok siebie, zgromadzone na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, niby żywe ilustracje w atlasie przyrodniczym. Jednym słowem ZOO jest nie tylko miejscem rozrywki, ale i źródłem wiedzy. Stąd właśnie

płynie tak wielkie jego powodzenie: w jednym tylko dniu otwarcia Warszawski Ogród Zoologiczny odwiedziło przeszło 20.000 osób, a w tym — łatwo się domyśleć — pokaźna liczba dzieci.

W bieżącym sezonie, obok „starych znajomych”, spotkaliśmy nowe okazy zwierzęcego świata: foka „Grodza” — dar robotników portowych Władysławowa, młode lwiatka i niedźwiadki, małpa „Krzysia”, lama, 60 młodych srebrnych lisów, dwa węże boa — oto zimowy nabytek warszawskiego ZOO.

Oryginalną „ekspozycją” ogrodu zoologicznego jest tzw. wybieg dla brunatnych niedźwiedzi przy trasie W—Z. Przyjemnie jest, idąc do pracy, zatrzymać się na chwilę przy tym niezwyklej rezerwacie w samym sercu miasta, zatrzymać się i... nabrać ochoty na niedzielną wycieczkę do ZOO.

Fot. Z. Małek



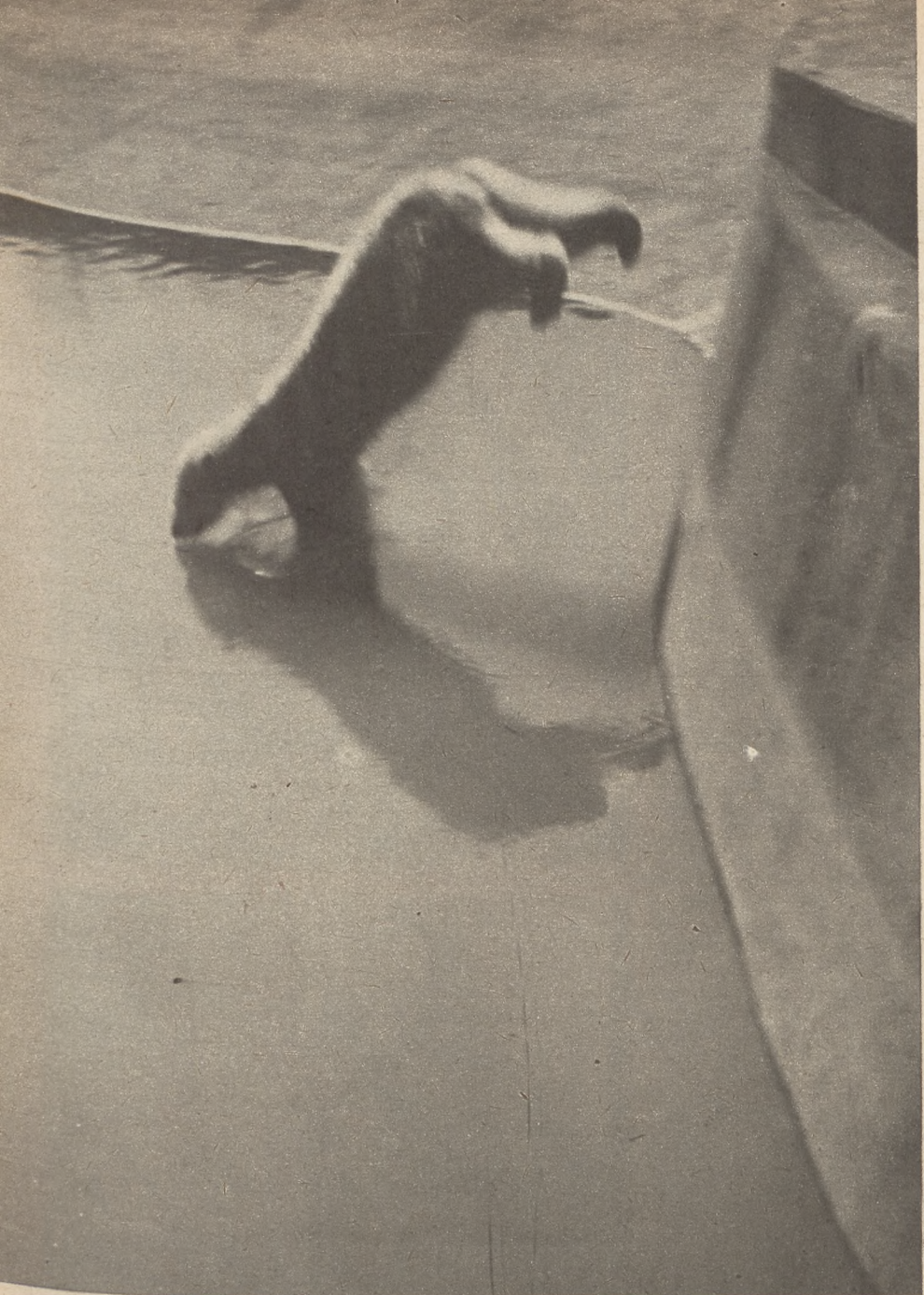
„Kaśka” stąpa majestatycznie po słoniowej górze, olbrzymia, ale pełna łagodności i przyjaźni dla ludzi. Żelazne kolce nie pozwalają na dłuższy spacer. Taka przechadzka byłaby niebezpieczna dla trawników.



Wielbłąd „Kuba” z poważną miną spogląda przez siatkę ogrodzenia. Niedługo będzie woził dzieci na swym garbie



Kameleon wyszedł na wiosenny spacer. Za chwilę zmieni kolor skóry wprawiając w zachwyt obserwujące go dzieci.



Hop!... I już w wodzie. Takiego skoku mógłby pozazdrościć niejeden sportowiec. Miś, choć ociężały, z upodobaniem i zapalem oddaje się przyjemnemu sportowi.



W całej Warszawie trwa Miesiąc Czystości. Małpki w warszawskim ZOO także przeprowadzają wiosenną toaletę. A potem już zabawa od rana do wieczora.

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU „KŁOPOTY MISTRZA PENDZELKA“

Wszędzie książki... Na półkach, na podłodze, na krzesłach. Wśród nich rozsiadł się sam Mistrz Pendzelek i przewraca kartki grubych tomów. Trzeba znaleźć wszystkie błędy, bo to i wydawnictwo prosi o poprawione rysunki i Czytelnicy przysyłają odpowiedzi konkursowe...

Mistrz Pendzelek zabrał się żwawo do pracy. Przejrzenie 1453 odpowiedzi wymaga niemało trudu. Twarz Mistrza rozjaśniał często uśmiech zadowolenia. Odpowiedź była bezbłędna, odnaleziono wszystkie „pułapki historyczne“.

Ale były i odpowiedzi mniej trafne, zawierały błędy. Mistrz Pendzelek wcale się temu nie dziwił. Konkurs był trudny, jednak — jak pisali Czytelnicy — dostarczył miłej rozrywki i wzbogacił zasób ich wiadomości historycznych.

Jakież to błędy wkradły się do rysunków. Było ich bardzo dużo. A więc...

1 Mickiewicz nie był nigdy w Warszawie, więc nie mógł się spotkać ze Słowackim pod Kolumną Zygmunta. Zegarki tego typu (jak na oknie) nie były znane.

2 Karol I Stuart został ścięty toporem w r. 1649. Gilotyna została skonstruowana dopiero w okresie Rewolucji francuskiej.

3 Daniel Defoe pisał „Robinsona Cruzoa“ nie po francusku, lecz po angielsku, nie mógł korzystać z Wielkiej Encyklopedii Francuskiej, bo nie została jeszcze wydrukowana. Papierosów nie znano w tym okresie, więc Defoe nie mógł strząsać popiołu do szklanej popielniczki.

4 Chopin komponował swoje utwory przy świecy, a nie przy świetle lampy naftowej. Naftę zastosowano do oświetlenia już po śmierci Chopina. Obraz Milleta (a nie Chełmońskiego, jak wielu Czytelników napisało) został namalowany w 8 lat później.

5 Dante pisał „Boską Komedię“ nie przy świecy i w swojej pracowni nie mógł mieć nowoczesnej mapy z konturami Ameryki.

6 Ciceron wygłaszał mowy z wielką zapalczywością, jednak w czasie oracji nie popijał wody ze szklanej karafki taką szklanką, oraz nie przygotowywał sobie konspektu — pisząc ołówkiem na białym papierze, gdyż Rzymianie używali rytych i tabliczek. Styl gotycki pojawił się dopiero w połowie XII wieku.

7 W epoce „króla Stasia“ nie znano zegarków na rękę.

8 Wiktor Hugo nie mógł stać na wieży Eiffla, ponieważ nie było jej jeszcze, a czy na spacerach chodził z psem i parasolem — o tym kroniki milczą.

9 Mikołaj Kopernik nie spoglądał na gwiazdy przez lunetę, gdyż wynalazł ją dopiero Galileusz w roku 1610.

10 W bitwie pod Trafalgar parowce nie brały udziału, a marynarze nie ratowali się przy pomocy kół ratunkowych, których również jeszcze nie znano. Admirał Nelson nie miał jednego oka i lewej ręki.

11 Gdy Mickiewicz i Puszkini spotykali się w stolicy ówczesnej Rosji, miasto nosiło nazwę Sankt-Petersburg. Piotrogradem nazwano je dopiero podczas I wojny światowej.

12 Kolumba na lądzie amerykańskim nie witali Indianie na koniach. Konie sprowadzono dopiero z Europy. A czy Kolumb miał na sobie szaty kobiece — musi zdecydować kostiumolog.

Mistrz Pendzelek skorzystał z pomocy Czytelników i poprawił błędy w swych rysunkach, natomiast Czytelnicy za prawidłowe rozwiązanie konkursu otrzymali

NAGRODY:

- I — aparat fotograficzny — Ignacy Klaput, rob. rolny, Wadowice
- II — kupon materiału — Mirosław Andzieliwicz, kolejarz, Bierutów Koszarowa 5
- III — album Daumier'a — Ludwik Astarowicz, kier. gmin. biblioteki, Łaski k/Kępna

Książki otrzymują:

- 1. WITOLD MAŃKO, transportowiec — Lublin, Pochyla 3
- 2. MIROSŁAW LEŚNIEWSKI, stolarz — Szczecin, Krzywoustego 55
- 3. AGNIESZKA PECKOWSKA, uczennica — Miechów, Stalina 2
- 4. LESZEK KRÓWCZYŃSKI, asystent Akademii Medycznej — Kraków, Słowackiego 35
- 5. MARCELI KORNOWSKI, uczeń — Gdynia 4, Chylońska 93
- 6. JAN VETULANI, uczeń — Kraków, Garncarska 4/1
- 7. WOJCIECH CESARSKI, uczeń — Warszawa 32, Krasińskiego 18
- 8. WOJCIECH BADIAN, student Politechniki Śląskiej — Gliwice, Lelewela 2
- 9. WIESŁAW MOKRZYCKI, uczeń — Warszawa 22, Niemcewicz 9
- 10. MAŁGORZATA SIEROSZEWSKA, studentka — Warszawa, Górnośląska 16
- 11. FELIKS JABŁOŃSKI, prac. umysłowy — Bytom, Pułaskiego 19
- 12. JERZY ROGALSKI, inżynier — Kraków, Syrokomli 3
- 13. STEFANIA BALBUS, księgowa — Czempin, Pl. Świerczewskiego 11
- 14. HALINA WYSOCKA, maszynistka — Gorzów, Czerw. Armii 105
- 15. PAULINA KORABIEWICZ, gosposdyń dom. — Gdańsk, Gdyńskich Kosynierów 5
- 16. PIOTR STERMIŃSKI, pracownik budowlany — Kraków, Jaxy Gryfity 4
- 17. JERZY MĘŻYKOWSKI, technik — Warszawa 26, Rozłucka 4/6
- 18. BOGUMIŁ ZAJĄCZKOWSKI, ekonomista — Łódź, Mickiewicza 24
- 19. HENRYK DĄBROWSKI, bibliotekarz — Poznań, Dzierżyńskiego 43
- 20. WITOLD JOCHEM, leśnik — Karpacz, Leśnictwo Stanica
- 21. MIROSŁAW ZIENKIEWICZ, prac. umysł. — Sopot, Stalina 707
- 22. WOJCIECH GAWRYLUK, student — Warszawa 27, Elbląska 15
- 23. TADEUSZ NIEŚPIAŁOWSKI, nauczyciel — Zakopane, Chałubińskiego 17
- 24. BYSZARD WERYŚ, student A. M. — Bytom—Bobrek, Dworcowa 1
- 25. TADEUSZ ZBYSZYCKI, wojskowy — Warszawa 27, Kozielska 4
- 26. JERZY DEUTEK, oficer W.P. — Poznań, Roosevelta 9
- 27. JÓZEF JAROSZEWSKI, prac. umysł. — Wrocław, Miernicza 7
- 28. DANUTA SZCZEPKOWSKA, prac. umysł. — Warszawa, Mokotowska 45
- 29. FRANCISZEK GREDEL, uczeń — Gdynia, Tatrzańska 18
- 30. BRONISŁAW MORAWSKI, księgowy — Kraków, Topolowa 52

Niestety — nie wpłynęła ani jedna bezbłędna odpowiedź zbiorowa, wobec czego Redakcja nie przyznała nagrody w postaci piłki i siatki.

NOWE KINO

NAZYWAŁO się to „Cristal” albo „Wenus” i mieściło się najczęściej w jakiejś klitce przerobionej ze sklepu, albo w trzecim podwórzu czynszowej kamienicy... Już przed czwartą gromadziły się przed takim „kinem” tłumy wyrostków, gotowych do szturmów, bo miejsc było dwadzieścia, a biletów sprzedawano z pięć razy więcej... Czwarta! Otwierają się brudne drzwi i fala młodych entuzjastów zalewa „salę” (7×5 m), rozmieszcza się na krzesłach, na poręczach — prędzej, prędzej, bo właśnie... szeryf strzela do Czarnego Billa i kładzie go trupem. Na szczęście był w pobliżu John-Długa Broda; ten przewiercił sztyłetem brzuch szeryfa, szeryf umiera, ale jeszcze przedtem zabija Johna-Długą Brodę... Wszyscy zabici? Nie! John tylko udawał, że umiera, teraz wstaje, uśmiecha się... Szczęśliwy John! Do niego należeć będzie worek złota i piękna Mary... Uff, jak duszno!

Takie przedwojenne „kina” — a było ich w Warszawie nie mało — pamięta dobrze mechanik Stanisław Michalski, który 1 Maja puścił pierwszy film w nowym warszawskim kinie „Śląsk”.

„Śląsk” jest jednym z najpiękniejszych i niewątpliwie najnowocześniejszych

szym kinem stolicy. Betonowe ścieżki i podjazdy dla samochodów prowadzą pod główne wejście przy ulicy Wspólnej (kino mieści się w kompleksie gmachów resortu gospodarczego między Wspólną a Żurawią). Przez wykładane mahoniem i lustrami poczekalnie wejdziemy do sali, gdzie 600 osób zasiądzie na wygodnych, miękkich fotelach (nie trzeba trzymać kolan pod brodą). Główna podłoga tłumić będzie kroki tych, którzy wciąż jeszcze, niestety, się spóźniają...

Zanim zacznie się film, podziwiać będziemy salę obramowaną dwoma rzędami kolumn, estetyczne sztukaterie sufitowe, efektowne oświetlenie. Ale najprzyjemniejsze chyba jest powietrze: sprawne urządzenia klimatyzacyjne wciągają nieustannie świeży powiew o odpowiedniej temperaturze i wilgotności.

Przycisnąwszy światła na kurtynach i zaczyna się seans. Obraz i dźwięk mówią od razu, że kino posiada najnowocześniejszą aparaturę. Już sam ekran jest „ostatnim krzykiem” kinowych usprawnień; nawet z najbardziej bocznych miejsc widzi się obraz normalny zamiast nieznacznie wydłużonych sylwetek.

Przerwy w wyświetlaniu są wykluczone. Pracują na przemian dwa nowoczesne aparaty projekcyjne i dwa dźwiękowe, automatycznie sprzężone ze sobą, tak że w razie defektu jednego, włącza się natychmiast drugi. Mechanicy w znakomicie „klimatyzowanej” obszernej kabinie odczytują na specjalnych tablicach sygnały z sali w razie nieodpowiedniej ostrości obrazu czy siły dźwięku... A weźmy nawet najgorszy wypadek: chwilową przerwę w dostawie prądu. Aparaturę przełącza się z kabla elektrowni warszawskiej na prąd z Pruszkowa.

— A wszystko to zrobiliśmy w tak krótkim czasie — opowiada inż. Romanowski, kierownik nadzoru budowy. — Kino miało być na koniec lipca, jest na 1 Maja... Mielśmy przecież takich przodowników, jak murarz Skrętowski, cieśla Niewiadomski, brygadziści Kobzak — którzy wyrabiali stale prawie 300% normy, a zobowiązania dla uczczenia 10-lecia PPR i urodzin Prezydenta pozwoliły nam zaoszczędzić 7800 roboczogodzin...

A więc jeszcze jeden dar dla Prezydenta, będący zarazem darem dla społeczeństwa.

M. A.

Fot. J. KOSIDOWSKI

Przerwy w wyświetlaniu są wykluczone. Mechanik A. Kowalewski polega całkowicie na sprawnej aparaturze „Śląska”

„ŚLĄSK” JEST NIEWĄTPLIWIE NAJNOWOCZESNIEJSZYM KINEM STOLICY

Z toki IGNACEGO WITZA: ILUSTRACJE DO DZIEŁ GOGOLA

„NOTATKI WARIATA”

„W Hiszpanii jest król, on odnalazł się, tym królem jestem ja”.



„PORANEK DYGNITARZA”

Sekretarz: Ośmieliłem się wyrazić swoje zdanie tylko dlatego, że pan dyrektor...



„SZYNEŁ”

„Jest w Petersburgu potężny wróg tych biedaków, którzy otrzymują rocznie 400 rubli pensji lub coś koło tego. Ten wróg — to nikt inny, tylko mróz nasz, mróz północny...”



OSTATNIA REWIA ADOLFA HITLERA



U SZCZYTU SŁAWY...

Z czterech reprodukowanych tu zdjęć Adolfa Hitlera, dwa (z lewej) są dobrze znane: pochodzą z okresu, gdy „Fuehrer” znajdował się u szczytu swej potęgi. Dwa pozostałe natomiast (z prawej), publikowane w Polsce po raz pierwszy, to ostatnie zdjęcia Hitlera, zrobione na dzień przed jego samobójstwem.

Było to siedem lat temu. Zwycięska Armia Radziecka, druzgocąc opór hord hitlerowskich, dotarła do Berlina. Adolf Hitler próbował zorganizować ostatnią linię obronną w stolicy „Trzeciej Rzeszy”. W kołach przywódców hitlerowskich wciąż jeszcze ludzono się nadzieją, że z zachodu nadciągną oddziały anglo-amerykańskie i wyprzedzą

wojska radzieckie. Ale natarcie Armii Radzieckiej rozwijało się w takim tempie, że wszelkie rachuby hitlerowców załamały się beznadziejnie.

20 kwietnia 1945 roku, gdy toczyły się już walki na przedmieściach Berlina, niedoszły zdobywca świata obchodził swe 56, a zarazem ostatnie, urodziny. I wtedy właśnie, przed bunkrem koło kancelarii Rzeszy, odbyła się „ostatnia rewia” uwieczniona na zdjęciu, które reproduujemy obok. Nieznany fotograf zrobił także ostatni „portret” Fuehrera.

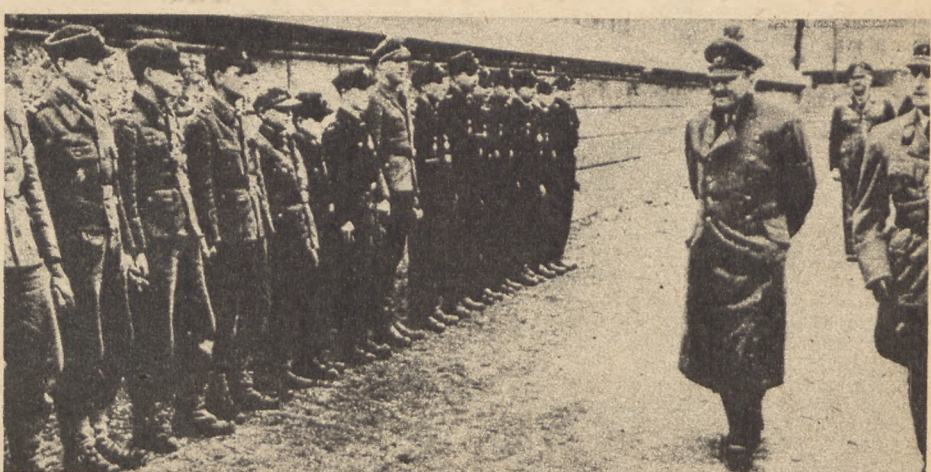
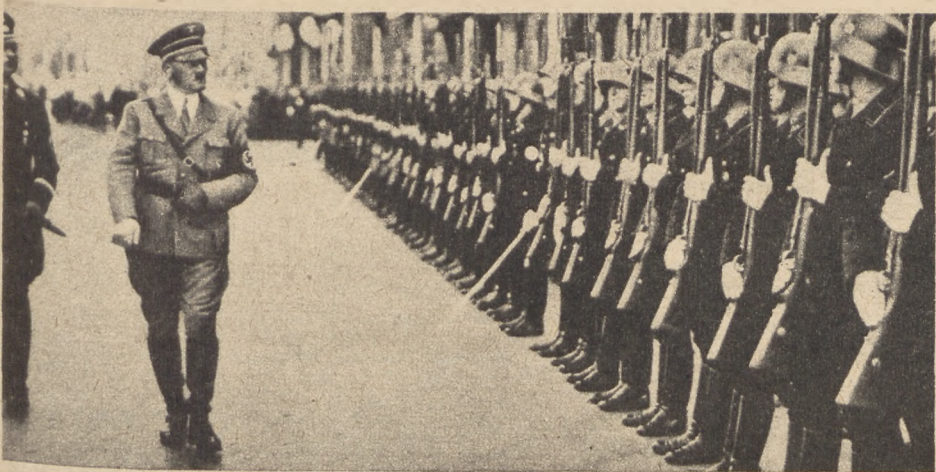
W dziesięć dni później żołnierze radzieccy zatknęli Czerwony Sztandar zwycięstwa na gmachu Reichstagu. 2 maja Berlin padł. Hitler już

nie żył — popełnił samobójstwo w swym bunkrze. A 9 maja nastąpiła kapitulacja hitlerowskiego państwa, rozbitego przez armię Kraju Socjalizmu.

Właśnie mija siedem lat od owego dnia. Warto przypomnieć ostatnie chwile tamtych ludobójców i ich marny koniec. 9 maja — data upadku „Tysiącletniej Rzeszy” Hitlera, która w starciu z potęgą socjalizmu rozleciała się po 12 niespełna latach — to dzień bardzo odpowiedni do rozmyślań dla wszystkich amatorów „panowania nad światem”. Pp. Truman, Eisenhower, Acheson i Marshall oraz ich sojusznicy z Bonn powinni się dobrze przypatrzeć ostatniemu portretowi i ostatniej rewii Adolfa Hitlera.



...NA DNIE UPADKU



MODLITWA PO AMERYKAŃSKU

Ogłoszenie z amerykańskich pism ilustrowanych

HOW to PRAY
and get
RESULTS

The true way to mastery will open for you when you know how to ask for and how to accept the gifts that GOD has stored up for those that love and obey him. Learn

THE MAGIC FORMULA for SUCCESSFUL PRAYER

Here are some of the amazing things it tells you about: When to pray: Where to pray: How to pray: The Magic Formula for Health and Success through prayer: for conquering fear through prayer: for obtaining work through prayer: for money through prayer: for influencing others through prayer: and many other valuable instructions that help you get things you want.

5-DAY TRIAL—SEND NO MONEY

Just send your name and address today and on delivery simply deposit the small sum of only \$1 plus postage with your postman. I positively GUARANTEE that you will be more than delighted with RESULTS within 5 days or your money will be returned promptly on request and no questions asked. Order At Once.

ATOMIC BOOKS
507 Fifth Ave. Dept. PV-4 New York 17, N. Y.

A oto dosłowny przekład:
JAK SIĘ MODLIĆ BY UZYSKAĆ REZULTATY. Prawdziwa droga do sukcesu stanie przed tobą otworem, gdy nauczysz się, jak się modlić i jak przyjmować dary, które Bóg ma na składzie dla tych, co go kochają i są mu posłuszni.

MAGICZNA FORMUŁA SKUTECZNEJ MODLITWY. Oto kilka zdumiewających rzeczy, o których się dowiedziecie: Kiedy się modlić? Gdzie się modlić? Jak się modlić? Magiczne formuły: jak osiągnąć zdrowie i powodzenie przez modlitwę, jak pokonać

strach przez modlitwę, jak zdobyć pracę przez modlitwę, jak zdobyć pieniądze przez modlitwę, jak wpływać na ludzi przez modlitwę — i inne cenne wskazówki, które pomogą wam pozyskać to, czego pragniecie.

PIĘCIODNIOWA PRÓBA — NIE NADSYŁAJCIE PIENIĘDZY.

Przyslijcie tylko nazwisko i adres, a po otrzymaniu książki wpłaćcie listonoszowi niewielką kwotę jednego dolara plus koszty przesyłki. Bezwzględnie gwarantuję, że będziecie zachwyceni wynikami w ciągu pięciu dni, w prze-

ciwnym razie zwracam pieniądze na żądanie i nie stawiam żadnych pytań. Zamawiajcie natychmiast: **WYDAWNICTWO ATOMOWE**, Piąta Avenue nr. 507, New York 17, N.Y.

Krótko mówiąc — za dolara z groszami możecie mieć za pośrednic-

ZNOWU ZEŁGALI

Kłamstwo, jako broń polityczna, ma tę wielką wadę, że niesłuchanie łatwo można się w nim zaplątać. Doświadczyla tego właśnie prasa amerykańska, próbując zakłamać sprawę wojny bakteriologicznej w Korei. Nie jest to rzecz łatwa, gdyż ogłoszone dowody, a zwłaszcza zdjęcia bomb bakteriologicznych, zrzuconych przez lotników USA w Korei, przegważdżają amerykańskich ludobójców. Dziennik „New York Times” wziął się tedy na sposób. Nie mogąc zaprzeczyć autentyczności zdjęć, opublikowanych na łamach prasy demokratycznej, ani temu, że przedstawiają one bomby amerykańskie, zrzucone w Korei, „New York Times” postanowił wmówić swym czytelnikom, że nie są to bomby bakteriologiczne, lecz zupełnie niewinne pociski do rozpoznań. Oto dosłowny tekst odpowiedniego ustępu

twem Wydawnictwa Atomowego gwarantowany sposób zapewnienia sobie przychylności niebios przy pomocy magicznych formuł. A swoją drogą, byłoby ciekawe poznać tę magiczną formułę, która uczy, jak zdobyć w Ameryce pracę...

z depeszy ogłoszonej w n-rze „New York Times” z dn. 3 kwietnia:

Germes Shown Are Harmless, Insects Not Carriers and Bomb Is for Leaflets

By A. M. ROSENTHAL
Reprinted from The New York Times

“The photograph of a ‘germ bomb’ supposedly dropped by the United States was a picture of a nonexplosive bomb used to distribute propaganda leaflets, which for physical reasons is not adaptable even theoretically to carrying germs. The authority: Army spokesman in Washington, who produced pictures to prove that the ‘germ bomb’ was a leaflet bomb.”

„Zajęcia „bomb bakteriologicznych”, zrzuconych rzekomo przez Stany Zjednoczone, są zdjęciami nieszkodliwych bomb używanych do rozrzucania ulotek propagandowych. Bomby te ze względu na swe właściwości fizyczne nie dają się, nawet teoretycznie, zastosować do roznoszenia bakterii. Autorytatywne źródło: rzecznik wojskowy w Wa-

szingtonie, który przedstawił fotografie świadczące, że „bomby bakteriologiczne” są bombami do ulotek.”

Kompromitacja nastąpiła już po trzech dniach. Bo oto w dniu 6 kwietnia dziennik „New York Herald Tribune”, powołując się na bardziej autorytatywne źródło niż anonimowy „rzecznik wojskowy”, bo na samego generała Bullene, szefa korpusu chemicznego wojsk USA, stwierdził, że właśnie bomby ulotkowe nadają się świetnie do celów wojny bakteriologicznej. A oto dosłowny cytat z oświadczenia gen. Bullene, który stwierdził, że wojna bakteriologiczna „nie wymaga żadnych skomplikowanych „cudownych broni” (superweapon). Sposoby przeniesienia bakterii na terytorium wroga są bardzo proste i wymagają ekwipunku, w który armia amerykańska jest już obecnie świetnie za-

opatrzona, jak pociski używane do zrzucania ulotek propagandowych”.

Larger Funds Likely in Germ Warfare Study

Actually, he said, retaliatory bacteria warfare “does not involve some complicated super weapon.” The means of delivering germs to enemy territory, he said, are simple and involve equipment of the type with which the service now are already well stocked such as the containers used currently for dropping propaganda leaflets.

Czyli, jak wynika z zestawienia dwóch głosów z prasy amerykańskiej, bomby zrzucane przez Amerykanów w Korei należą do typu „pocisków ulotkowych”, które, zdaniem gen. Bullene, świetnie nadają się do przeniesienia bakterii chorób zakaźnych. Taki jest prosty wniosek z nieudolnej próby zagania sprawy.

TEATR SWIAT

Dyrekcja i tekst: JAN SZELĄG Dekoracje i kostiumy: HA-GA

SPOTKANIE W PORCIE

Sztuka w 3 aktach

Osoby: Eisenhower zwany „Ike” — kandydat na kandydata na prezydenta USA; Ridgway — nowy dowódca wojsk atlantyckiego w Europie; Statua Wolności

AKT I

EISENHOWER: O, hello, Ridgway! Co za spotkanie!
RIDGWAY: Hello, Ike! Wracasz do domu?



EISENHOWER: Chciałbym nawet do Białego Domu.
RIDGWAY: Przypuszczam, że nie do czarnego.
Ha, ha, ha.

EISENHOWER: Zgasł mi papieros. Daj ognia.

RIDGWAY: Ogień to moja specjalność.

EISENHOWER: Tylko nie zapomnij, że to Nowy Jork a nie Phenian.

RIDGWAY: Dziękuję za ostrzeżenie.

EISENHOWER: I przestań się drapać, bo to wygląda bardzo nieładnie.

RIDGWAY: My, nowocześni dowódcy, powinniśmy już pozbyć się pogardy dla tych małych pożytecznych zwierzątek.

EISENHOWER: Zabierasz je do Europy?

RIDGWAY: Przydałyby się.

EISENHOWER: Będziesz miał trudności z użyciem tej formacji.

RIDGWAY: Mam wprawę.

EISENHOWER: Trzeba by je posłać na przeszkolenie do komisji badania działalności antyamerykańskiej.

RIDGWAY: Pocóż im taka tresura?

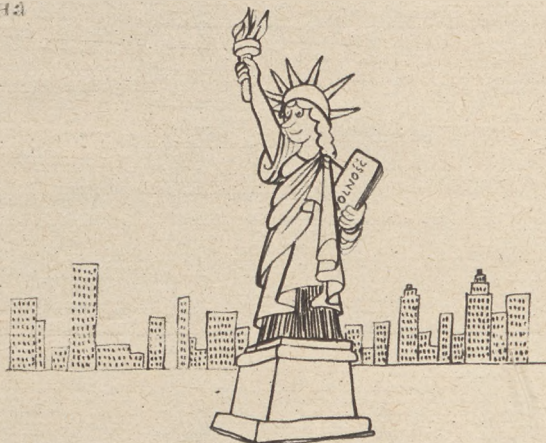
EISENHOWER: Co zrobisz, jak twoja pchła zamiast bojowników pokoju pogryzie na przykład rząd francuski lub skoczy za kołnierz Adenauerowi?...

RIDGWAY: ...albo, broń Boże, ugryzie Guderiana i dzielnego Haldera.

EISENHOWER: Pchły twoje nie są tak posłuszne jak członkowie Rady Atlantyckiej, którzy bez

żadnych sprzeciwów zatwierdzili twoją kandydaturę.
RIDGWAY: To rzeczywiście kłopot.
EISENHOWER: Mnie też kłopotów nie brak.
RIDGWAY: Ale. Będziesz sobie siedział w Białym Domu i spokojnie robił swoje. Mam nadzieję, że raz - dwa skończysz z bałaganem w tym kraju. z tą całą „demokracją”, strajkami, protestami...
EISENHOWER: Ciiiicho...
RIDGWAY (rozgląda się): Nikogo nie ma.
EISENHOWER (milcząc pokazuje na Posąg Wolności).
RIDGWAY (szepem): Więc sądzisz, że Ona?...
EISENHOWER: Ciiiicho...

HA



POSĄG WOLNOŚCI (milczy).

AKT II

POSĄG WOLNOŚCI (milczy).

AKT III

POSĄG WOLNOŚCI (milczy).

(KURTYNA NIE ZAPADA, BO TO NIE KONIEC)



Rys. KARIBU

SPOD GWIAZDZISTEGO SZTANDARU



KSIĄŻKI

WYDAWNICTW KRAJOWYCH

WYSYŁA NA ŻĄDANIE
za zaliczeniem pocztowym lub
po wpłacie na konto należności

CENTRALNA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

Warszawa, Sienkiewicza 14
Konto P. K. O. I-15716

DOM KSIĄŻKI

KATALOGI

INFORMACJE

A N E G D O T Y

Włodzimierz Perzyński był raz na próbie opery Wieniawskiego „Król Kochanek” i, siedząc blisko pulpitu kompozytora, ciągle się uśmiechał. Wyprawiony z równowagi Wieniawski, wybuchnął gniewem:

— Czego się śmiesz, Włodek? Czy ja się kiedykolwiek śmiałem na twoich komediach?!

Paweł Marieton organizował słynne widowiska w teatrze antycznym Oranga. Pewnego razu wystawiano tam „Króla-Edypa”, którego grał znakomity Mounet-Sully. Publiczność witała wielkiego artystę owacyjnie. Wśród widzów znajdował się także miliarder amerykański, Andrew Carneggie. Zachwycony grą Mounet-Sully’ego, zwrócił się do Marietona zapytaniem, ile dolarów potrzeba na to, aby podobne widowisko zorganizować w Ameryce.

Marieton wyprostował się i wskazując na niebo i wspaniałe mury starożytnego teatru, odpowiedział, jękając się zlekka:

— Pa... panie Ca... Carneggie, potrzeba na to... dwóch tysięcy lat!

Król bawarski, Ludwik II, spotkał w czasie wycieczki po kraju, beznogiego wieśniaka wlokącego się o kulach.

— Gdzieście stracili nogę? — pyta król.

— Pod Sedanem.

— A nie poznajecie mnie?

— Nie.

— Ja jestem przecież królem bawarskim, waszym wodzem!

Wieśniak skłonił się nisko:

— Ja wciąż walczyłem w pierwszej linii, więc jakże mogłem widzieć Waszą Królewską Mość?

W czasie pobytu Woltera na dworze króla pruskiego Fryderyka Wielkiego, król zaproponował wielkiemu pisarzowi przejażdżkę łodzią. Wolter zauważył jednak, że łódź przecieka i szybko wyskoczył na brzeg.

— Tak się pan lęka o swoje życie? — roześmiał się król. — Ja się nie boję.

— Oczywiście — rzekł Wolter — królów na świecie jest kilku, ale Wolter tylko jeden.

Tristan Bernard przebywał raz w towarzystwie, w którym ktoś narzekał na bóle głowy.

— Ja — zwierza się jeden z obecnych — ilekroć dostaję bólu głowy, ratuję się geometrią. Staram się rozwiązać jakieś zawiłe zadanie...

— Ze mną było inaczej — powiada Tristan Bernard. — Ilekroć kazano mi rozwiązywać zawiłe zadanie, ratowałem się bólem głowy.

Bajkopisarz duński, Andersen, znany był z tego, że nie dbał zupełnie o swój wygląd zewnętrzny. Jego stary, zniszczony i wytarty kapelusz i połatany płaszcz znała cała Kopenhaga.

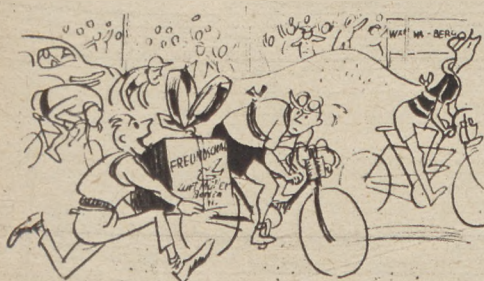
Pewnego razu jakiś człowiek zaczepił Andersena na ulicy i złośliwie zawołał:

— Ten nędzny przedmiot na głowie nazywa pan kapeluszem?

Bajkopisarz, nie tracąc spokoju, odrzekł:

— A ten nędzny przedmiot pod kapeluszem nazywa pan głową?

Z WYŚCIGU POKOJU



Rys. Charlie

SWIAT



NA TRASIE POCHODU